Nr. 11. Listopad 1900. Rok XX.



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

LONDYN

Z drukarni Polskiej Partyi Socyalistycznej

Warunki prenumeraty:

5 fr. — 4 sh. — 4 m. — 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) — 1 dol. — 10 milreisów — rocznie.

Nr. pojedyńczy 45 cent. — 4 d. — 35 fen. — 20 ct. austr. — 10 ct. amer. — 900 reisów.

Adres redakcyi i administracyi:

Józef Kaniowski, 67 Colworth Rd., Leytonstone, London N. E.

Księgarnia Polskiej Partyi Socyalistycznej
w Londynie

Administracya „Przedświtu“ i „Światła“
Ekspedycya zagraniczna „Robotnika“, „Górnika“ i „Arbajtera“

Wysyła katalogi i udziela wszelkich informacyi w zakresie księgarskim darmo.

Świeżo otrzymane na skład:

Amicis de Ed. O kwestyi społecznej. Lwów 1900. Cena 10 ct. austr., 15 fen., 20 centimów, 4 centy ameryk., 2 d.

Daszyński Ignacy. Szlachetczyzna a odrodzenie Galicyi. Lwów 1899. Cena 50 centów austr., 80 fen., 1 frank. 20 centów amer., 10 d.

Hannibal. Nędza Rosyi w cyfrach. Kraków 1900. Cena 10 ct. austr., 15 fen., 20 centimów, 4 cent. amer., 2 d.

Idea przewodnia powstań polskich, przez J. Z. Kraków 1900. Cena 20 cent. austr., 30 fen., 40 centimów, 8 centów amer., 4 d.

Janowski J. N. i W. Heltman. Konstytucya 3 maja, z uwagami krytycznemi. Lipsk. Cena 60 centów austr., 1 marka, 1 fr. 25 centimów, 25 centów amer., 1 sh.

☞ Jednodniówka „Robotnik“ z 1895 roku (zawiera, między innemi: Marks o kwestyi polskiej. — Rosya. — Szpicel, obrazek na tle życia konspiracyjnego. — Rachunki: sprawozdanie z działalności P. P. S. w 1894, niezbędne dopełnienie do broszury „P. P. S. w ostatnich 5 latach“ — Poezye, portret Marksa itd.) Cena 20 centów austr., 30 fen., 40 centimów, 8 centów ameryk., 4 d. ☜

Jenerał Walery Wróblewski. Napisał G. Z portretem. Paryż 1900. Cena 15 centów austr., 25 fen., 30 centimów, 6 centów amer., 3 d.

Luśnia M. Niepodległość Polski w programie socyalistycznym. Paryż 1900. Cena 25 cent. austr., 40 fen., 50 centimów, 10 centów amer., 5 d.

Maskoff J. „Tamten“. Sztuka w 5 aktach z ilustracyami. Cena 1 złr., 1 m. 60 fen., 2 franki, 40 cent. amer., 1 sh. 8 d.

Mickiewicz i Puszkin oraz społeczeństwo polskie i rosyjskie przez ***. Kraków 1899. Cena 40 centów austr., 65 fen., 80 centimów, 16 cent. amer., 8 d.

Pobudka. Rok 1889—1893, komplet. Cena 6 złr., 10 marek, 12 fr., 2 dol. 50 cent., 10 sh.

Polska Partya Socyalistyczna w ostatnich 5 latach. Londyn 1900. Cena 15 cent. austr., 25 fen., 30 centimów, 6 centów ameryk., 3 d.

Nr. 11. Listopad 1900. Rok XX.

PRZEDŚWIT

Z powodu V-go Zjazdu P. P. S.

Zjazdy P. P. S. odźwierciadlają dokładnie historyę i stopniowy rozwój naszej pracy partyjnej — stopniowy wzrost sił i wpływów partyi. Pierwszy zjazd P. P. S. w r. 1893-im zapoczątkowuje normalny bieg działalności partyjnej, ujmuje istniejący już ruch w pewne łożysko i zajmuje się sprawą wewnętrznego zespolenia sił partyjnych, nie zlanych jeszcze organicznie w jedną całość. Drugi zjazd, który odbył się na początku r. 1894-go może już mniej uwagi poświęcać wewnętrznym niedomaganiom partyi; zajmuje się natomiast wypracowaniem dokładnego planu działalności partyjnej na przyszłość. Na tym to zjeździe założono trwałą podwalinę przyszłego rozwoju wpływów P. P. S., postanawiając wydawać „Robotnika".

W okresie, oddzielającym II-gi zjazd od III-go, który się odbył w lipcu r. 1895-go, P. P. S. rozporządzała już sprężystą i jednolitą organizacyą, jej znaczenie i powaga wzrosły znakomicie, a energiczna działalność, rozwijana w coraz to szerszych masach, z jednej strony spotęgowana zaciekłość jej wrogów, a z drugiej wkładała na partyę nowe obowiązki. III zjazd ustala taktykę partyjną i określa jej stosunek także do innych partyi w kraju, jak i do innych narodowości w państwie rosyjskiem.

Od czasu III-go zjazdu siły i stosunki P. P. S. wzrastają ustawicznie i partya staje się pierwszorzędnym czynnikiem w życiu politycznem kraju. IV zjazd, odbyty w końcu r. 1897-go, przyjmuje cały szereg bardzo ważnych uchwał: poleca założenie dwóch nowych pism partyjnych — „Światła" i „Arbajtera", określa stosunek do litwinów i proletaryatu żydowskiego, wypracowuje warunki umowy z przyszłą partyą rosyjską, nakreśla w końcu szczegółowy plan dalszej pracy organizatorskiej partyi.

W ten sposób cztery pierwsze zjazdy P. P. S. omówiły najważniejsze sprawy wewnętrznego i zewnętrznego życia partyjnego i wytknęły jej drogi rozwoju na dłuższy przeciąg czasu. Dlatego to V zjazd P. P. S., który się odbył we wrześniu*), zajmował się głównie sprawą dopasowania istniejących już sił i form organizacyjnych do stale wzrastających potrzeb ruchu. Zjazd uznał, że nie zaszło nic takiego, coby nakazywało zboczyć z wytkniętej oddawna drogi i zmieniać ustaloną taktykę i organizacyę partyjną. To przekonanie znalazło swój wyraz w powziętej jednogłośnie uchwale, dotyczącej sprawy odpowiedzi na gwałty rządowe. Tak zwany „teror" został jednogłośnie uznany za bezcelowy w dzisiejszych warunkach i szkodliwy w swych wynikach dla dalszego rozwoju ruchu. Ponieważ hasło teroru, pociągające umysły osobników małouświadomionych lub niezrównoważonych pod względem temperamentu, mogłyby stać się niebezpiecznem narzędziem w ręku niepoprawnego warcholstwa, albo świadomej prowokacyi, przeto zjazd włożył na C. K. R. obowiązek wyjaśnienia w „Robotniku" stanowiska partyi w tej sprawie.

---

*) Uchwały jego podaliśmy w Nr. poprzednim „Przedświtu".

Konferencye agitatorów odbywały się już i dawniej, ale zjazd ostatni wprowadza je jako stały, peryodyczny czynnik życia partyjnego, co bez wątpienia przyczyni się do wyjaśnienia wielu potrzeb ruchu, ogarnięcia nowych punktów, zawiązania nowych stosunków itd. Uchwała, dotycząca manifestacyi pogrzebowych, sprowadza do właściwych granic te objawy uświadomienia i solidarności masy robotniczej.

Sprawa wydawnictw partyjnych była również omawiana na zjeździe. Zastanawiano się w pierwszej linii nad kwestyą zamiany „Światła“ na miesięcznik, lub przynajmniej na pismo, wychodzące raz na dwa miesiące, dalej postanowiono jaknajprędzej wznowić wydawnictwo „Arbajtera“ **), ponieważ stosunki partyi wśród żydów rozwijają się ustawicznie, wskutek czego należy obok „Arbajtera“ wydać jeszcze szereg broszur w żargonie. Postanowono też ogłosić popularną broszurkę dla jaknajszerszych mas, tłómaczącą nasz program partyjny. oraz „Wypisy dla agitatorów“, w których by ci ostatni znajdowali niezbędny do agitacyi materyał.

Zjazd zajmował się też sprawą t. zw. „secesyi“, występującej obecnie pod fikcyjną firmą „Polska Partya Socyalistyczna Proletaryat“. Pochodzenie tej „partyi“ jest następujące. W maju r. b. z Oddziału Zagranicznego P. P.S. wystąpiło 11 członków (wszyscy w jednem i tem samem mieście). Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że fakt ten nastąpił wkrótce pe rozejściu się wiadomości o wzięciu drukarni „Robotnika“ przez żandarmów, a więc wówczas, kiedy partya poniosła ciężkie straty, to odrazu będziemy mogli scharakteryzować moralną wartość tego postępku. Panowie ci rozpoczęli od warcholenia wśród członków Zagranicznego Oddziału P. P. S., ale bez żadnego skutku. Wówczas przenieśli swą „działalność“ do kraju, intrygując w demagogiczny sposób po kątach przeciwko P. P. S. (którą ogłaszali za „prawie wybraną“) i obiecując niesłychane rzeczy tym, którzyby się do nich przyłączyli, mianowicie szkoły dla agitatorów, niezwykle mądrych teoretyków, bardzo obfitą pomoc pieniężną więźniom, i, co najgłówniejsza, — wspaniały teror. Ten ostatni punkt, a raczej odporne stanowisko P. P. S. względem teroru przy dzisiejszych warunkach, miało być wrzekomo powodem wystąpienia „secesyonistów“ z Zagr. Oddziału P. P. S. Secesyoniści ogłosili się za „Polską Partyę Socyalistyczną Proletaryat“, wydali dwie szumne odezwy — rosyjską. w której oświadczyli, że „stając na czele ruchu“, ofiarowują towarzyszom-rosyanom sojusz, i polską, drukowaną czerwonemi literami (kiedy teror — to teror!), bardzo śmieszną pomimo uroczystego tonu i — jak dotąd — w rezultacie zdobyli tylko gorący poklask „Bundu“ i jednomyślne potępienie zjazdu, oraz wszystkich tych, komu rzeczywiście leży na sercu sprawa wyzwolenia proletaryatu polskiego.

Zjazd skonstatował fakt, że rozwój organizacyi partyjnej nie był dotychczas w stanie nadążyć za rozwojem ruchu, rozlewającego się coraz szerzej, że wskutek tego wynikały braki, którym należy zaradzić w najbliższej przyszłości. Dalej skonstatował, że pomimo ustawicznego wzrostu dochodów partyi, potrzeby i wydatki rosły daleko prędzej, co znowuż krępowało partyę i zmuszało ją do wypełniania tylko najważniejszych zadań. Wszystkie te trudności dadzą się przezwyciężyć, gdyż partya dziś jest już dość silna, ażeby z otuchą patrzeć w przyszłość, tem bardziej, że w ostatnich czasach przybyło jej sporo nowych, młodych sił. Rok bieżący był ciężki dla partyi, mnóstwo środków trzeba było obracać na pomoc więźniom, co w znacznej mierze tamowało swobodę ruchów organizacyi. Pomimo to wszystko ciągłość ruchu ani na chwilę nie została przerwana i — pewni jesteśmy — że jej się już wrogom przerwać nie uda.

St. Os... arz.

**) Nr. 2 „Arbajtera“ wy wyjdzie tych dniach z druku.

GALICYA PRZED WYBORAMI

I.

Jak naszym czytelnikom wiadomo, 13-go grudnia rozpoczną się w Galicyi wybory do parlamentu, w których partya nasza weźmie bardzo czynny udział. Jeszcze przed urzędowem rozpisaniem wyborów na terytoryum całego zaboru austryackiego zawrzała gorączkowa walka, która im dalej, tem większej nabierała siły. W chwili, kiedy piszemy te wiersze, w znacznej części Galicyi odbyły się już prawybory z IV i V kuryi i walka przedwyborcza osiągnęła najwyższy — rzec można — stopień natężenia. Ponieważ walka ta obfituje w szczegóły i wypadki niezmiernie charakterystyczne, przeto podajemy tu treściwy obraz jej przebiegu, ażeby czytelnicy nasi mogli się zoryentować w dość skomplikowanych stosunkach, panujących na gruncie galicyjskim.

Ażeby zrozumieć ustosunkowanie się wzajemne stronnictw galicyjskich, musimy się przyjrzeć bliżej reprezentacyi parlamentarnej tej dzielnicy.

Galicya wysyła do parlamentu wiedeńskiego 78 posłów, z pomiędzy których 20 wybiera wielka własność ziemska, 13 — miasta, 3 — izby handlowe i przemysłowe, 27 — posiadłość wiejska i nareszcie 15 — kurya powszechnego głosowania czyli V.

W r. 1897-ym po raz pierwszy obok „Koła polskiego“, które do owego czasu było jedyną polską reprezentacyą w parlamencie, zjawiły się dwa niezależne kluby polskie: stojałowczyków i ludowców. Oprócz tego socyaliści, wybrani w Galicyi, przystąpili do klubu socyalistycznego. W ten sposób „Koło“ zostało znacznie osłabione, ale pomimo to liczyło w chwili rozwiązania parlamentu 56 członków. Do „Koła“ należeli konserwatyści i liberali, czyli t. zw. galicyjscy demokraci, którzy jednak wskutek regulaminu „Koła“, obowiązującego jego członków do bezwzględnej solidarności, w niczem swego demokratyzmu (demokratyzmu osobliwego nabożeństwa) objawiać nie mogli. Klub ludowców składał się z 4 posłów (Bojko, Krempa, Winkowski i Stapiński), klub Stojałowczyków pierwotnie posiadał 7 członków (Cena, Danielak, Szajer, Zabuda, Szponder, Kubik i Stojałowski), ale potem rozbił się na dwie grupy, ponieważ Danielak, Szponder i Zabuda odpadli od Stojałowskiego.

Co się tyczy rusinów, to z pomiędzy 9-ciu posłów rusińskich 6 należy do klubu południowo-słowiańskiego. Są to „ugodowcy“ czyli stańczycy rusińscy, najzupełniej zależni od „Koła“. Z pomiędzy reszty jeden (Dr. R. Jarosiewicz) należy do klubu socyalistycznego, a dwóch jest dzikich.

Według poszczególnych kuryi posłowie galicyjscy dzielą się w następujący sposób. Posłowie z kuryi wielkiej własności wszyscy bez wyjątku należeli do „Koła“, tak samo jak i posłowie z izb handlowych i przemysłowych. Tych 23 posłów było wybranych zupełnie normalnie, ponieważ obiedwie te kurye są twierdzą warstw najbardziej uprzywilejowanych. W nich niema mowy o żadnych walkach. Kilkunastu lub co najwyżej kilkudziesięciu szlagonów w kuryi wielkiej posiadłości mianuje jednego ze swoich na posła i koniec. To samo jest mniej więcej i w kuryi izb handlowych, tylko, że tu rozstrzygającym czynnikiem są najbogatsi kupcy i fabrykanci.

Wszyscy posłowie z miast (13) również należą do „Koła“, ale na tym terenie nie obyło się już bez walki i nadużyć ze strony stańczykowskiej, ponieważ przy ostatnich wyborach gdzieniegdzie (raków, Lwów) przeciwko kandydatom, wiernym stańczykieryi, występowali opozycyjni ludowcy lub radykali. Co się tyczy 11 mandatów z kuryi wiejskiej oraz 9 z V kuryi, należących do członków „Koła“, to wszystkie one bez wyjątku zostały zdobyte dzięki niesłychanym nadu

życiom, fałszerstwu, przekupstwu, gwałtom, przyczem dochodziło do rozlewu krwi. Padały trupy chłopskie, więzienia zapełniały się setkami chłopów i robotników, ażeby utorować drogę do parlamentu stańczykom lub ich wiernym lokajom — demokratom galicyjskim...

Polskie kluby opozycyjne, tak samo jak i reprezentacya rusińska, wybrane zostały wyłącznie z kuryi wiejskiej lub powszechnej. Wszyscy rusini zostali wybrani z kuryi wiejskiej, polscy socyaliści z V-tej, stojałowczycy oprócz jednego z wiejskiej, ludowcy w równej części z wiejskiej i V-tej.

II.

Wybory r. 1897-go odbywały się pod hasłem zdobycia na stańczykach jaknajwiększej liczby mandatów V-ej i IV-tej (wiejskiej) kuryi. Chłopi i robotnicy polscy i rusińscy wytężyli byli wszystkie siły, ażeby wyprzeć uzurpacyę stańczykowską z tych kuryi, które według wszelkich zasad sprawiedliwości powinny należeć do reprezentantów chłopskich i robotniczych. Wówczas został zrobiony pierwszy wyłom w potężnym dotychczas murze stańczykowskim. Nie minęło czterech lat, a pokazało się, że mur ten poczyna się powoli rozsypywać w gruzy od ciągłych, coraz silniejszych uderzeń opozycyi robotniczej i chłopskiej. Przeciwko władzy szlacheckiej poczęło coraz groźniej powstawać mieszczaństwo, a hasło „Precz z Kołem polskiem!“ rozbrzmiewa dziś nie tylko na zgromadzeniach socyalistycznych, lub na wiecach chłopskich, ale i na zebraniach mieszczaństwa i inteligencyi miejskiej, żywiołów dotychczas tak spokojnych, tak dalekich od wszelkiej myśli o jakimśkolwiek „buncie“.

Jednem słowem dziś można skonstatować fakt pocieszający, że polityka stańczykowska, która wtrąciła kraj w otchłań nędzy i ciemnoty, polityka szkodliwa zarówno dla interesów społeczno-ekonomicznych mas pracujących, jak i dla interesów kulturalnych całego narodu, — zbankrutowała w oczach wszystkich uczciwych ludzi.

Nie należy jednak sądzić, ażeby już teraz wybiła dla stańczyków ostatnia godzina. Nie, na to są oni jeszcze za silni. W ich ręku przecież spoczywa cała władza polityczno-administracyjna w kraju, oni rozporządzają największymi wpływami na rząd centralny, oni opanowali źródła wpływów ekonomicznych, oni posiadają i kapitały dla przekupienia słabych moralnie, i bagnety żandarmskie dla poskramiania opornych, i ambony kościelne dla tumanienia ciemnych. Bądź co bądź jednak siły opozycyi galicyjskiej wzmogły się niesłychanie i — kto wie — czy zwycięstwo stańczyków przy wyborach najbliższych nie będzie ich ostatniem zwycięstwem... Zresztą i to najbliższe „zwycięstwo“ stańczykieryi nie przedstawia się bynajmniej świetnie.

Jak już nasi czytelnicy wiedzą, znaczna część tak zwanej lewicy sejmowej otwarcie zerwała z „komitetem centralnym“ (stańczykowskim) i zaczęła poważnie zastanawiać się nad tem, czy ma wstąpić do „Koła“ z żądaniem zmiany jego regulaminu, czy też ma założyć samodzielny demokratyczny klub polski, do którego wstąpiliby prawdopodobnie i opozycyjni posłowie chłopscy. Stańczykom udało się za pomocą szacherki zakulisowej urwać część posłów demokratycznych opozycyonistom mieszczańskim, ale bądź co bądź pozostała ich dość znaczna liczba, a dwa najbardziej wpływowe pisma demokratyczne — „Słowo Polskie“ we Lwowie i „Nowa Reforma“ w Krakowie stanęły na stanowisku energicznej opozycyi względem stańczyków. Co najważniejsza, opinia mieszczaństwa prowincyalnego wypowiedziała się prawie jednogłośnie za samodzielną polityką posłów demokratycznych i olbrzymia większość miast galicyjskich odrzuciła wszelki współudział z komitetem centralnym.

Ciekawy jest właśnie proces ścierania się dwóch prądów w mieszczaństwie, usposobionem opozycyjnie. Wówczas kiedy młodsze, bardziej radykalne żywioły

występują bezwzględnie przeciwko „Kołu“ i dążą do wytworzenia nowego, demokratycznego klubu polskiego w parlamencie, starsi demokraci, przyzwyczajeni do jarzma haniebnego, które w ciągu długich lat dźwigali, chwieją się, wykręcają się sianem i pragną znaleźć jakieś kompromisowe wyjście. Chwiejność ta mści się oczywiście na nich samych, gdyż tracą sympatye żywiołów radykalniejszych i, co ważniejsza, mas ludowych, a z drugiej strony osłabiają siebie wobec stańczyków, którzy traktują ich jak niedołęgów.

Prasa socyalistyczna ostro wystąpiła przeciwko tej chwiejności, udawadniając, że dla uczciwych opozycyonistów mieszczańskich, dbających o dobro narodu i swoje własne, niema innego wyjścia, jak tylko zupełne zerwanie ze stańczykami i „Kołem“ i przyłączenie się do opozycyi ludowej. Socyaliści wykazują, czem jest osławiona „solidarność narodowa“, której bronią zębami i pazurami stańczycy i naiwniejsi demokraci — bezwstydnym środkiem pozyskania warstw mieszczańskich i ludowych dla egoistycznych, kastowych interesów szlacheckich. Robotnicy przyciskają do muru kandydatów demokratycznych na zgromadzeniach przedwyborczych i żądają od nich jasnej odpowiedzi, czy wstąpią do „Koła“, czy nie. Cały szereg miast uchwala popierać tylko takich kandydatów, którzy się zobowiążą nie wstępować do „Koła“.

Pomimo to wszystko, im bardziej się zbliża termin wyborów, tem bardziej główni menerzy demokratów poczynają tracić odwagę. Jedni stają w obronie solidarności „Koła“, drudzy dają wymijającą odpowiedź na zapytanie, czy zerwą z „Kołem“. Przeważa ostatecznie zdanie, że posłowie demokratyczni powinni wstąpić do „Koła“, ale warunkowo — to znaczy natychmiast po wstąpieniu zażądać zmiany statutów „Koła“, a gdyby większość na to nie przystała, wówczas dopiero wystąpić jako klub samodzielny. Ma się rozumieć, że taka strusia polityka ostatecznie skompromituje tych panów wobec wyborców, usposobionych rzeczywiście opozycyjnie, i w rezultacie przyczyni się do usunięcia ich z areny politycznej na korzyść bardziej radykalnych żywiołów.

Znaleźli się pomiędzy demokratami i tacy, którzy, udając wielkich opozycyonistów, potajemnie porozumieli się ze stańczykowskim komitetem centralnym i uzyskali jego poparcie. Bardzo prędko jednakże zostali zdemaskowani.

Widzimy więc, że opozycyi mieszczańskiej dużo brakuje jeszcze do tego, ażeby się stała opozycyą w całem znaczeniu słowa, ale w każdym razie w miastach rozpoczął się ruch opozycyjny, który w końcu doprowadzi tam do zupełnego upadku wpływów stańczykowskich. Prawdopodobnie już przy tych wyborach z miast galicyjskich wyjdzie kilku posłów, którzy do „Koła“ za żadną cenę nie wstąpią.

III.

Jeśli się przeniesiemy z miast na wieś — od opozycyi mieszczańskiej do chłopskiej, to zobaczymy obraz znacznie odmienny i od tego, cośmy widzieli w miastach, i od tego, co było przy wyborach w r. 1897-ym. Wówczas Stojałowski walczył ręka w rękę z socyalistami, a jego program bardzo mało czem różnił się od socyalistycznego; natomiast ludowcy zachowywali się wprost wstrętnie: zwalczali, nie przebierając w środkach, ruch robotniczy i kandydatów socyalistycznych, posunąwszy swój oportunizm do ostatecznych granic, na czem zresztą sami najgorzej wyszli. Obecnie role Stojałowskiego i ludowców bardzo się zmieniły. Od r. 1897 Stojałowski zdążył niejednokrotnie lud zdradzić, stał się krańcowym moskalofilą i poplecznikiem rządu rosyjskiego i zbliżył się ze stańczykami. Co do ludowców, to ci znacznie zradykalnieli i uczciwą pracą opozycyjną poczęści odkupili dawne winy. Nauczeni doświadczeniem, nie występują już przeciwko socyalistom, a główny ich organ „Kuryer Lwowski“ pisze: „Dziś zgodzi się już chyba każdy uczciwy człowiek, że 5-ta kurya należy faktycznie

do klasy wydziedziczonej z praw, klasy „maluczkich“, tych biedaków wyzyskiwanych, pozbawionych dotąd głosu. Chociaż tam głosują w tej kuryi inne także stany, byłoby przecież nieuczciwością pozbawiać reprezentacyi ludność, która albo żadnego podatku bezpośredniego albo bardzo mały opłaca.“

Odezwa wyborcza ludowców zawiera jasno i zrozumiale postawione dwie najważniejsze obecnie dla Galicyi sprawy: 1. Stronnictwo ludowe domaga się powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania i 2. oświadcza stanowczo, że jego posłowie do „Koła polskiego“ nie wstąpią. Po za tem znajdujemy w niej same ogólniki w rodzaju „sprawiedliwego uregulowania sprawy narodowościowej na podstawie równouprawnienia wszystkich narodów“, bez określenia, jak sobie to równouprawnienie ludowcy wyobrażają, lub zapowiedź wystąpienia w radzie państwa z „wnioskami, zmierzającymi do tego, by bez tamowania innych, bardzo ważnych zadań Izby poselskiej i bez użycia jakichkolwiek ograniczeń Izby, zapewnić sprawie narodowościowej w Austryi normalne rozwiązanie“, bez podania owych wniosków.

Chytry lis Stojałowski również domaga się w swej odezwie wyborczej powszechnego i równego prawa głosowania i tai się całkiem ze swem moskalofilstwem. Oryginalnym w tej odezwie jest zupełny brak zaufania do kandydatów, których Stojałowski stawia. Wyrazem tej nieufności jest następujący ustęp odezwy: „Ażeby na przyszłość od zdrady i odstępstwa się zabezpieczyć, a przynajmniej dotkliwej szkody nie ponosić, oraz ażeby lud nie nadarmo pracował, a ci, którzy wskutek wyborów cierpią prześladowania, mają procesy i inne straty i szkody, mogli być wynagradzani lub w potrzebie ratowani, uchwaliliśmy, że każdy kandydat na posła musi nietylko padpisać deklaracyę, że w stronnictwie i klubie wytrwa, ale ponadto musi:

a) po wyborze na posła składać dziesiątą część pobieranych dyet poselskich do kasy klubowej;

b) złożyć w ratach rocznych ustanowioną przez kongresy nasze kwotę 300 złr. do kasy wydziału stronnictwa — a na zabezpieczenie wszystkich tych zobowiązań: wytrwania w klubie, urządzenia zgromadzeń i płacenia 10 proc., dać ustanowione przez kongresy nasze zabezpieczenie.“

Już to nie lada kłopot ma ks. Stojałowski ze swoimi kandydatami. Namnożylo się ich bowiem tyle, że ks. redaktor w żaden sposób nie może sobie z nimi dać radę. Bezmała każdy chłop-stojałowczyk pragnie zostać posłem, a przynajmniej zgłosić swą kandydaturę, Doszło do tego, że w niektórych okręgach kandyduje dwóch, a czasami i trzech stojałowczyków. Na konferencyi 23 września stojałowczycy uchwalili szereg kandydatów z IV i V kuryi. Sam Stojałowski postanowił kandydować w IV kuryi w okręgu Łańcut-Nisko. Konferencya uchwaliła, że partya Stojałowskiego nie wchodzi z żadną partyą w kompromisy, pozwala jednakowoż każdemu z kandydatów wchodzić w *„prywatne układy“*, za które partya żadnej nie przyjmuje odpowiedzialności. Postawiono zasadę, że mandaty posłów stronnictwa mogą trwać tylko jedną kadencyę, i że nie należy łączyć mandatów sejmowych z mandatami do Rady państwa, a to dla tego, ażeby zyskać jaknajwięcej politycznie wyrobionych ludzi. Wreszcie stojałowczycy postanowili nie zawierać sojuszu na czas wyborów z żadnem stronnictwem.

Wkrótce potem Stojałowski zjawił się na posiedzeniu t. zw. „Koła sejmowego“ i brał udział w obradach nad komitetem centralnym jako też i w wyborze tego komitetu. Prawdopodobnie były to „prywatne układy“ ze stańczykami w myśl uchwały konferencyi... W związku z tem stoi zapewne uchwała wydziału stronnictwa stojałowczyków, zobowiązująca przyszłych posłów do wstąpienia do „Koła“ polskiego. Dopiero po tem wstąpieniu mają zażądać zmiany statutu „Koła“, a gdyby w przeciągu trzech tygodni od postawienia tych wniosków

zmiana dwnego statutu „Koła“ nie była przeprowadzona, lub gdyby dowodnie stwierdzonem zostało, że zmiany te zostaną albo na czas nieograniczony usunięte, lub całkiem udaremnione, wówczas posłowie chrześciańsko-ludowi obowiązani będą utworzyć całkiem odrębne chrześciańsko-społeczne Koło polskie, z tem jednem zastrzeżeniem, że w sprawach, które przez większość wszystkich posłów polskich, lub przewodnictwa osobnych klubów poselskich polskich uznane będą za sprawy narodowe i krajowe, wszyscy posłowie polscy w Wiedniu głosować mają jednomyślnie.

W ten sposób Stojałowski prowadzi dwulicową politykę: udaje wobec chłopów nieprzejednanego opozycyonistę, a tymczasem wchodzi w konszachty z szlachtą. To też widać ze wszystkiego, że powodzenie Stojałowskiego chyli się ku upadkowi. Na kandydatów jego partyi cisną się indywidua z pod ciemnej gwiazdy — rozmaici Dobije itp. osobistości, lub też poprostu wierzyciele Stojałowskiego. W jego „partyi“ panuje najzupełniejsze rozprzężenie, a ksiądz redaktor ze smutkiem musi wspominać czasy z przed wyborów 1897 r., kiedy spotykano go gościnnie we wszystkich wsiach, miasteczkach i miastach. Dziś w miastach Stojałowski jest już zupełnie zdyskredytowany i ani waży się tam pokazywać się. I na wsi wpływ jego znacznie osłabł, jakkolwiek w wielu miejscach chłopi czują jeszcze do niego wdzięczność za dawną pracę i szczerą walkę. Prawdopodobnie nie uda mu się już odzyskać ani dawnego wpływu, ani takiej samej liczby posłów, jaką miał w poprzednim parlamencie.

Natomiast ludowcy mają nadzieję znacznie zwiększyć liczbę swych mandatów i niezmordowanie agitują w tych okręgach, gdzie ich kandydaci mają szanse powodzenia. Tymi kandydatami są, z nielicznymi wyjątkami, sami chłopi.

Oprócz ludowców i stojałowczyków, którzy, pomimo krętackiej i zdradliwej polityki swego przywódcy, bądź co bądź są stronnictwem opozycyjnemi i antyszlacheckiem, wśród chłopów rozwijają agitacyę i Potoczkowie—chłopi stańczykowskiego autoramentu. Ich wpływy jednak są bardzo ograniczone terytoryalnie, bo nie wychodzą po za obręb paru południowo-zachodnich powiatów Galicyi. W Nowym Sączu — siedlisku braci Potoczków — odbyło się ściśle poufne zebranie delegatów komitetu centralnego, na którym obecni byli marszałek, kilku zaufanych wójtów i okolicznej szlachty, tudzież obaj Potoczkowie. Na zebraniu tem omawiano kwestyę wyborów z V i IV kuryi i ubito wreszcie następującą ugodę z Potoczkami: obaj Potoczkowie zobowiązali się, że wstąpią do Koła polskiego, że je będą bronić i popierać. Za to przyrzeczono im moralną i materyalną pomoc ze stronu rządu, komitetu centralnego i duchowieństwa. Uchwalono przytem, że komitet centralny nie będzie ich popierał jawnie, by ich w oczach chłopów nie zdyskredytować, lecz „pocichu“, t. zn. przy pomocy wszelkich stuczek i presyi wyborczej. Uchwały tego klerykalno-stańczykowskiego zebrania zobowiązano się zachować w tajemnicy.

Zresztą Potoczkowie są już tak zdyskredytowani, że wątpić należy, czy im co pomoc stańczyków pomoże.

IV.

Co do socyalistów, to ci nie zaniedbują agitacyi ani w mieście, ani na wsi. Zanim jeszcze wybory w Galicyi zostały rozpisane, partya nasza rozpoczęła swą agitacyę i — rzec można — była ona jedynem stronnictwem, którego rozwiązanie parlamentu nie zaskoczyło niespodzianie. Dzięki sprężystości swej organizacyi i karności swych szeregów, socyaliści w ciągu paru tygodni załatwili się z czynnościami przygotowawczemi (konferencye wyborcze, odezwy i t. d.) i z całym zapałem rzucili się w wir walki wyborczej.

Komitet wykonawczy partyi wytknął główne punkty programu wyborczego w ten sposób:

„Socyalna demokracya wstępuje w ten bój wyborczy z całą ufnością, że siły ludu polskiego wzrosną w nim i spotężnieją. Wypowiedziawszy walkę tym, co nas dotąd gnębili, woła głośno robotnikom, chłopom, rzemieślnikom i wszystkim, co z ludem ręka w rękę idą: *precz z rządami Koła polskiego! Precz z solidarnością z wrogami ludu!*

Na miejsce zaś tych niesprawiedliwych przywilejów wyborczych, które dały władzę tym wrogom ludu, stawiamy jako żądanie nasze: *powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze!*

Zamiast nienawiści rasowej, wyznaniowej i narodowej, oraz ucisku narowego, żądamy dla każdej narodowości *zupełnego samorządu narodowego!*

Najbliższe wybory powinny uprzątnąć sporą część starej niewoli i ciemnoty i przybliżyć cały lud polski w mieście i na wsi do lepszej, szczęśliwszej przyszłości! *Wybory rozpisane!*

Do pracy zatem Towarzysze! Do pracy Obywatele wyborcy, ażeby z urny wyborczej wyszedł lud zwycięzcą!“

Kandydatury partyi zostały ogłoszone, i agitatorowie nasi rozsypali się po całym kraju, zwołując zgromadzenia po wsiach i miastach, rozrzucając odezwy wyborcze, uświadamiając masy i jednając je dla kandydatur socyalistycznych. Nielada praca ich czekała. Musieli z jednej strony walczyć z nadużyciami rządu i klerykałów, którzy nie przebierają w środkach, ażeby zohydzić w oczach ludu socyalizm, z drugiej zaś ucierać się ze stojałowczykami i potoczkowcami, tumanionymi przez swych przywódców. Pomimo to jednak rozwinęli tak energiczną czynność, że prasa burżuazyjna poprostu jest zdumiona tą ich ruchliwością. Niema dnia, ażeby się nie odbyło kilku lub nawet kilkunastu zgromadzeń socyalistycznych, niema miasteczka i wsi, do której by socyaliści nie starali się dotrzeć — przynajmniej w tych okręgach, gdzie ich kandydaci mają większe szanse powodzenia. Agitacya ta przynosi też owoce. Nie tylko robotnicy, ale rzemieślnicy i chłopi z zapałem oklaskują mowy agitatorów socyalistycznych i przyrzekają głosować na kandydatów socyalistycznych. Można twierdzić na pewno, że gdyby nie nadużycia przy prawyborach i wyborach, gdyby nie szalona presya rząda i szlachty oraz księży, gdyby jednem słowem wybory w Galicyi były tak samo wolnymi jak, dajmy na to, w Czechach, nasi towarzysze z pewnością zdobyliby kilkanaście mandatów.

Najbardziej zażarta walka toczy się w okręgu krakowskim V kuryi, gdzie zjednoczone siły stańczykowsko-klerykalno-antysemickie pragną jeśli już nie uniemożliwić wybor tow. Daszyńskiego, to przynajmniej urwać mu bodaj kilka tysięcy głosów, ażeby módz potem krzyczeć, że „socyalizm upada“. I bardzo możliwe, że Daszyński nie otrzyma już teraz 23.000 głosów, chociażby z tego powodu, że władze postarały się za pomocę różnego rodzaju fałszerstw zmniejszyć liczbę wyborców w tym okręgu, nie wciągając na listy wyborcze mnóstwa osób, które już w r. 1897 były uprawnione do głosowania. W samym Krakowie w ten sposób ubyło 4.000 wyborców, a cóż dopiero mówić o gminach wiejskich, gdzie łatwiej popełniać fałszerstwa i nadużycia. W tym roku będzie zresztą i tak mniejszy udział wyborców w głosowaniu, gdyż nie będzie to już pierwsza próba powszechnego głosowania, jak to było w r. 1897, kiedy każdy cisnął się do urny wyborczej. Dziś już zgóry wiadomym jest rezultat wyborów, więc prawdopodobnie dużo wyborców pozostanie w domu.

Ponieważ stańczycy wierzą, że w r. 1897 Daszyński zawdzięczał w pewnej mierze swój wybór stojałowczykom i żydom, przeto obecnie postanowiono wywrzeć nacisk na te dwa żywioły. Gdy jednak nikt z ludzi poważnych nawet z obozu stańczykowskiego nie chciał kompromitować się, więc uradzono „utrącić“ mandat Daszyńskiego za pomocą różnych sztuczek. Klerykali podjęli się prowadzenia całej akcyi, i za ich namową Stojałowski wystawił kandydaturę

niejakiego Węgrzyna, (który się właściwie nazywa Weingrün). Osobistość to nieczystej przeszłości, robiąca wprost śmieszne wrażenie. Kilka występów tego pana ośmieszyło go zupełnie i, chcąc nie chcąc, musieli go klerykali wycofać z obiegu. Myślano jakiś czas o prof. Czerkawskim, ale sprawa niezapłaconych obiadów, którymi ten pan uraczył czechów, zrobiła go zupełnie niemożliwym, jako kandydata, gdyż „Naprzód“ wyrobił mu taką opinię w społeczeństwie, że trudno go było klerykałom popierać.

Wynaleźli więc sobie nowego kandydata w osobie niejakiego Krotowskiego, nauczyciela gimnazyum, który dawniej zwał się Szkaradkiem. Jestto licha pod względem moralnym kreatura jezuicka, redaktor wstrętnego jezuickiego piśmidła „Łączność“. Ażeby mieć pomoc w agitacyi po wsiach, sprowadzono dla Krotowskiego specyalnego „agitatora“ ze Lwowa — niejakiego Łucyka. Dla zapoznania się z jezuicką metodą agitowania warto bliżej przyjrzeć się tej figurze. Łucyk — rusin z pochodzenia — był czas jakiś klerykiem w zakonie bazylianów, ale go wypędzono z klasztoru za niemoralne czyny. Potem przebywał u księdza rusińskiego w Chyrowie, ale uciekł od niego, skradłszy 20 złr. Następnie redagował pismo rusińskie „Posłannyk“, zabierając sobie pieniądze, przychodzące do redakcyi. Potem występował jako radykał rusiński, sumiennie przepijając pieniądze, wyłudzane „na agitacyę“. Pisywał oprócz tego moskalofiilom różne sztuczki teatralne, ale najczęściej wzięte zgóry pieniądze przepijał i zmykał z placu. W r. 1898 agitował za ludowcami w Sanockiem, ale, skorzystawszy z tego, że mu dano 80 złr. dla wręczenia Stapińskiemu, przepił te pieniądze i... zerwał z ludowcami. W ten sposób zupełnie już dojrzał do tego, ażeby pójść w służbę jezuitów. Ofiarowano mu redakcyę jezuickiego pisma dla chłopów „Krzyż“, a potem przyjęto do redakcyi „Ruchu Katolickiego“. Tu go jednak przyłapano na gorącym uczynku rozbijania biurka z pieniędzmi. Z redakcyi go usunięto, ale uznano, że do agitacyi przeciwko Daszyńskiemu nadaje się w sam raz.

Rozpoczął więc agitacyę za Krotowskim, ale nie zdążył jej rozwinąć w całej pełni, kiedy „Naprzód“ ogłosił wszystkie jego sprawki, i niefortunnego agitatora wydalono.

Nie pozostawało więc Krotowskiemu nic innego, jak samemu agitować za sobą, jeżdżąc po wsiach i rozrzucając tam tysiące egzemplarzy „Łączność“. Przy tem Krotowski jaknajstaranniej unikał spotkania z agitatorami socyalistycznymi i aż do 26 listopada nie ważył się pokazać wyborcom krakowskim, którzy się natarczywie tego domagali.

Zjawił się na dobitkę i konkurent, który począł Krotowskiemu psuć szyki. Mianowicie antysemici z „Głosem Narodu“ na czele wysunęli kandydaturę niejakiego Ptaka z Bieńczyc — który był już i ludowcem, i agitatorem stańczykowskim, i stojałowczykiem, aż w końcu zaprzyjaźnił się z Danielakiem i obecnie przeszedł razem z nim do „narodowych antysemitów“. Osobistość to o podejrzanej moralnie przeszłości, wyzyskująca ubogich chłopów, zapragnęła uszczęśliwić ich swoją kandydaturą — i rozpoczęła agitacyę po wsiach, podkopując wpływy Krotowskiego.

Sfery stańczykowsko-klerykalne zrozumiały, że taki Ptak może być niebezpieczny dla Krotowskiego — więc dalejże w targi. Krotowski zobowiązał się grubo zapłacić Ptakowi, byle się ten zrzekł swej kandydatury, ale Ptak, nie w ciemię bity, zażądał tyle, że Krotowski nie mógł się zdecydować i układy na razie rozbiły się. Prawdopodobnie obydwaj operetkowi kandydaci w końcu dobiją targu i na placu pozostanie sam Krotowski.

V.

Co do tow. Daszyńskiego, to agitacya za nim prowadzi się na wielką skalę

tak w samym Krakowie, jak i w całym okręgu. Niema dnia, ażeby nie odbyło się przynajmniej kilku zgromadzeń chłopskich, na których przemawia bądź sam Daszyński, bądź któryś inny z towarzyszy. Na olbrzymiem zgromadzeniu w Krakowie dnia 22 października Daszyński wypowiedział swój program wobec tysięcy robotników, chłopów i przedstawicieli inteligencyi. Mówił on między innem:

1) Kandyduję jako polski socyalny demokrata, nie ubieram się w cudze piórka, oświadczam to wyraźnie (oklaski);

2) do Koła polskiego nie wstąpię (huczne oklaski);

3) będę dalej, jak dotąd, walczył w obronie klasy pracującej (oklaski);

4) dążyć będę do odbudowania wolnej niepodległej Polski (oklaski);

5) Nikomu nie obiecuję nic ponad to, com powiedział (huczne, długotrwałe oklaski i wiwaty).

Skreśliwszy obraz sytuacyi obecnej, Daszyński wytknął plan, według którego należy pracować w kraju i w Wiedniu, ażeby wyzwolić Galicyę z jej teraźniejszego stanu.

Mowę jego przyjęto z entuzyazmem, z entuzyazmem też uchwalono jego kandydaturę. To samo było na wszystkich zgromadzeniach czy to chłopskich, czy to rękodzielniczych, nie mówiąc już o robotniczych. Chłopi po wsiach z niecierpliwością wyczekują agitatorów socyalistycznych, ażeby uchwalić na zgromadzeniu kandydaturę Daszyńskiego i wyśmiać Krotowskiego, który plecie trzy po trzy i ogłasza, że kandyduje „z nakazu ojca świętego“. „Łączność“, obficie rozdzielaną przez Krotowskiego wśród chłopów, ci ostatni ze śmiechem, nie czytaną oddają socyalistom.

Agitatorowie socyalistyczni wprost znęcają się nad niefortunnym kandydatem jezuickim, zjawiając się na zwołanych przez niego zgromadzeniach i pozyskując uchwalenie kandydatury Daszyńskiego; staje się tak nawet na zgromadzeniach, zwołanych przez Krotowskiego za zaproszeniami.

W okręgu lwowskim V kuryi sytuacya przedstawia się nieco inaczej. I tutaj, co prawda, ogół robotników, chłopów i prawdziwie demokratycznej inteligencyi jest za tow. Józefem Hudecem, kandydatem naszej partyi, ale element komiczny, reprezentowany w krakowskiem przez wszystkich tych Weingrünów-Węgrzynów, Szkaradków-Krotowskich i Ptaków ustępuje tu taktyce bandyckiej, uprawianej przez tegoż samego Ernesta Breitera, który próbował już sił swoich w r. 1897, kandydując przeciwko tow. Kozakiewiczowi.

Pan ten, dawniej anarchista, obecnie dziennikarz rewolwerowy, wynajął sobie kupę drabów, którzy opadają z kijami naszych towarzyszy, wszczynają bójki na zgromadzeniach i parę razy już wykonali zamachy formalne na tow. Hudeca i Mokłowskiego (kandydata z III kuryi). Breiter wydaje świstek wyborczy, w którym miesza z błotem wszystkich socyalistów, rzuca się z wściekłością niesłychaną na najbardziej zasłużonych dla sprawy ludowej ludzi i walczy kłamstwem, potwarzą, karczemnemi obelgami itd. Najparadniejsze jest to, że kandyduje jako... socyalista. Przekupił dwóch robotników, którzy istotnie byli w partyi, ale których partya na szczęście się pozbyła, i razem z nimi stara się wprowadzić rozdwojenie w szeregi robotnicze, rozbijając zgromadzenia i rozpajając lumpenproletaryat lwowski.

Ma się rozumieć, że ogół robotników lwowskich ze wstrętem się odwraca od takich „socyalistów“. Przy jawnym ruchu, jaki jest w Galicyi, takie sztuczki się nie udają, i pierwsze lepsze indywiduum, dobrawszy sobie kilka wykolejonych jednostek, przez nikogo za „partyę“ uznanem nie zostanie.

Kandydatura Breitera, człowieka, wyzutego ze wszelkiej uczciwości, nie przebierającego w środkach i sypiącego na prawo i na lewo pieniędzmi, utrudnia aszym towarzyszom pracę, ale ostatecznie nie zaważy zbyt ciężko na wynikach

wyborów, tembardziej, że i w tym okręgu socyaliści rozwijają bardzo energiczną czynność, zwołując olbrzymią liczbę wieców i zgromadzeń, wydając specyalną „Gazetę wyborczą“ (dwa razy na tydzień), odezwy itd.

Oprócz Breitera kandyduje w tym samym okręgu robotnik kolejowy Witoszyński, wysunięty przez klerykałów w celu rozbicia głosów robotniczych. Kandydatura ta jednak niema żadnej doniosłości i nikomu nie zaszkodzi.

Krakowski i lwowski okręgi są jedynymi w Galicyi okręgami V-tej kuryi, w których wybory odbywają się bezpośrednio, co w znacznym stopniu uniemożliwia nadużycia, gdyż np. o przekupieniu kilku czy kilkunastu tysięcy wyborców nie może być mowy. Oprócz tego w tych okręgach bardzo ważną rolę odgrywają miasta, w których znowuż trudniej popełniać nadużycia, aniżeli po wsiach. To też w tych dwóch okręgach zgóry już dają się obliczyć szanse powodzenia tego lub owego kandydata.

Całkiem inaczej jest w reszcie okręgów V-tej kuryi, gdzie olbrzymia większość wyborców znajduje się na wsi, gdzie całkiem uświadomiona ludność robotnicza stanowi znikomą mniejszość, gdzie chłopi są nader często jeszcze bardzo ciemni, jak to jest zwłaszcza na Rusi. Tem nie mniej jednak towarzyszy nasi nie tracą nadziei, że i na prowincyi uda się im, jeśli nie zdobyć parę madatów, to przynajmniej wykazać wielki wzrost głosów socyalistycznych w całym szeregu okręgów.

T. W—o.

W SPRAWIE ZABORU PRUSKIEGO

(Odpowiedź tow. W. Gumplowiczowi).

I

Sprawa rozwoju ruchu socyalistycznego w zaborze pruskim nie przestaje być jednem z najbardziej palących zagadnień naszej polityki partyjnej. Wówczas, kiedy w zaborze austryackim, pomimo jego zacofania ekonomicznego, ruch socyalistyczny rozlał się szeroką rzeką, podmywając potężną dotychczas twierdzę panowania stańczykowskiego; wówczas, kiedy w zaborze rosyjskim partya nasza, pomimo strasznych warunków politycznych, potrafiła wybić się na stanowisko naczelne, w zaborze pruskim polski ruch socyalistyczny wciąż jeszcze pozostaje rośliną cieplarnianą, nikłą, słabą, potrzebującą ustawicznej opieki z zewnątrz — opieki obcych i swoich. Co robić, ażeby ruch ten raz już począł rozwijać się normalnie?

Pytaniem tem zajął się między innymi i tow. Wł. Gumplowicz, pisząc w Nr. 9 „Przedświtu“ o znaczeniu dla socyalizmu polskiego neutralizacyi związków zawodowych w Niemczech. Tow. Gumplowicz upatruje przyczynę słabych postępów socyalizmu w polskich dzielnicach Prus w katolicyzmie ich ludności, dlatego też uznaje za konieczne stosowanie względem tej ludności takiej taktyki, jaką proponują niektórzy towarzysze niemieccy dla pozyskania niemieckiej roboczej ludności katolickiej. Taktyka ta polega na tem, ażeby wciągać masy do praktycznej walki z kapitalizmem za pomocą *neutralnych* związków zawodowych, a przez to później pośrednio zdobywać je i dla teoryi — względnie partyi socyalistycznej.

Ponieważ sprawa neutralizacyi związków zawodowych jest nawet wśród niemieckich towarzyszy kwestyą sporną, a tow. Gumplowicz przytoczył tylko argumenty *za* neutralizacyą, przeto zastanowimy się tu pokrótce nad pytaniem, czy neutralizacya związków zawodowych jest potrzebna i możliwa.

Zwolennicy neutralizacyi związków zawodowych — jakeśmy to widzieli z artykułu tow. Gumplowicza — chcą tak zreformować istniejące dziś organizacye fachowe, ażeby w poczet ich członków mógł zapisywać się *każdy* bez wyjątku robotnik, bez względu na swe przekonania religijne i nawet poglądy polityczne lub przynależność do tej lub owej partyi politycznej. Te związki będą walczyły z przedsiębiorcami o lepsze warunki pracy dla robotników, ale — nie pod firmą partyjną. Ci sami socyalistyczni związkowcy, którzy na zgromadzeniach politycznych i w gazetach partyjnych i na przyszłość otwarcie będą wyznawać opinię swoją względem państwa i kościoła, na zgromadzeniach zawodowych i w gazetach związkowych starannie wystrzegać się będą napaści nie tylko na kościół, ale i na partyę katolicką lub jakąbądź partyę, mającą stosunki pomiędzy proletaryatem" („Przedświt" Nr. 9, str. 21).

Właściwie mówiąc, do istniejących obecnie „nieznautralizowanych" związków zawodowych *mogą* wstępować robotnicy wszelkich wyznań religijnych i poglądów politycznych, ale zwolennikom neutralizacyi chodzi przedewszystkiem o to, ażeby ci robotnicy również *chcieli* do związków wstępować i faktycznie *wstępowali* do nich. W tym celu właśnie ma być przedsięwzięta neutralizacya.

Do dzisiejszych związków zawodowych robotnicy, idący na pasku kleru katolickiego, nie chcą wstępować głównie z tego względu, że katoliccy księża i politycy opowiadają im niestworzone rzeczy o charakterze związków, kierowanych przez socyalistów. Chodzi więc o to, ażeby pozbawić związki zawodowe wszystkich tych pierwiastków, które dają materyał księżom do straszenia ciemnych robotników katolickich. Na to jest tylko jedna rada... przekształcić te związki w czysto-katolickie, najściślej prawowierne, we wszystkiem słuchające kleru i jawnie antisocyalistyczne. Szczytem bowiem naiwności jest przypuszczać, że księża dadzą spokój „neutralnym" związkom zawodowym, w których przecież bądź co bądź będą rej wodzili socyaliści, jako najinteligentniejsi i najbardziej uświadomieni. Nawet wyrzucenie z biblioteki związkowej wszystkich popularnych wydawnictw z dziedziny nauk przyrodniczych, usunięcie odczytów o teoryi Darwina lub Laplace'a z posiedzeń związku nie zadowolni klerykałów, którzy nie przestaną krzyczeć, że „neutralne" związki są socyalistycznymi, a więc godnymi potępienia. I będą mieli ze swego punktu widzenia najzupełniejszą słuszność.

Przecież najbardziej nawet zneutralizowane związki zawodowe muszą bronić interesów klasy robotniczej w duchu partyi socyalistycznej, gdyż jest to jedyna partya, szczerze broniąca interesów klasowych proletaryatu, jedyna czysto proletaryacka partya. Socyaliści, stanowiący większość w związkach (a to samo będzie i w razie ich zneutralizowania), nie mogą używać innych argumentów w walce z kapitałem oprócz tych, jakie daje socylizm, do nikogo innego nie mogą udawać się o pomoc oprócz posłów socyalistów i prasy socyalistycznej, nie mogą inaczej oddziaływać na swoich ciemnych jeszcze katolickich towarzyszy, jak w duchu socyalistycznym*). Weźmy np. postępowanie „pierwszego związku zawodowego, który konsekwentnie stosować zaczął nową taktykę" — związku górników i hutników. Jego polityka bynajmniej nie jest „neutralną". Jest ona najzupełniej socyalistyczna, tylko wstydliwie zamaskowana. Organ tego związku poleca np. kandydata socyalistycznego, ale nie mówi nic o tem, że jest on socyalistą, tylko, że jest „robotnikiem", „przyjacielem robotników" itd. Ten sam organ podaje wniosek socyalistyczny w sprawie prawa o stowarzyszeniach, krytykuje zachowanie się centrum wobec tego wniosku i poleca swym czytelnikom głosować przy następnych wyborach — nie za socyalistami, ani przeciwko centrum — tylko na takich kandydatów, którzy są za wnioskiem nejlepszym. To się na-

*)Gdyby kierownictwo związków zawodowych przeszło do rąk niesocyalistów,to stałyby się one nie neutralnymi, lecz *antysocyalistycznymi* gdyż innego wyjścia wobec istnienia potężnej partyi socyalistycznej w Niemczech niema.

zywa „neutralna" polityka! Neutralność objawia się jeszcze w tem, że znanych socyalistów tytułuje się nie „towarzyszami" lecz „kamratami". Są jednak i gorsze rzeczy, wywołane przez zagalopowanie się w owej „neutralności". Oto np. organ tego związku, wydawany dla polaków — „Górnik" — nie waha się używać takiego kłamstwa w celu zdobycia członków dla związku bochumskiego: „Na Górnym Śląsku zwalczają „Górnika" nawet gorliwi stronnicy partyi socyalistycznej. Czyliż czyniliby oni to, gdyby „Górnik" był pismem socyalistycznem?... Na Górnym Śląsku będą „Górnikowi" największe stawiane przeszkody i to właśnie dlatego, że nie pracuje dla socyalizmu". (Rok I, Nr. 4, 1898)

Tymczasem każdy wie dobrze, że na czele związku górników i hutników stoją socyaliści, że socyaliści wydają, redagują i kolportują „Górnika". Czyż wobec tego taka obłuda nie wpływa demoralizujaco na towarzyszy? Czyż zdoła ona podejść klerykałów, którzy według zdania tow. Gumplowicza „najgłośniej wrzeszczą obecnie w Niemczech przeciwko neutralizacyi", i nie da im do rąk nowej broni dla dalszego ogłupiania robotników?

Nie możemy tu zapuszczać się w gruntowną analizę całej kwestyi neutralizacyi związków zawodowych w Niemczech. Jest też ona dla nas, jako dotycząca stosunków czysto niemieckich, w znacznym stopniu akademicką, gdyż i w zaborze rosyjskim i w zaborze austryackim polski ruch zawodowy jest organicznie połączony z partyą polityczną. Zajmiemy się więc tą częścią artykułu tow. Gumplowicza, która specyalnie jest poświęcona zaborowi pruskiemu, tych zaś czytelników, którzyby chcieli dokładnie zapoznać się z kwestyą, odsyłamy do obszernego artykułu K. Kautskiego „Die Neutralisierung der Gewerkschaften" w „Neue Zeit", Nr. Nr 40 — 43 r.b. Znajdą oni tam wyczerpującą odpowiedź na argumenty zwolenników neutralizacyi związków zawodowyah.

II

Tow. Gumplowicz dowodzi, że Związek górników i hutników począł odnosić wielkie sukcesy, dzięki stosowaniu owej polityki „neutralności", która w rzeczywistości, zresztą, bynajmniej nie jest taką „neutralną" polityką. Co się tyczy polskiej ludności górniczej w Westfalii i na Górnym Śląsku, to wśród niej — jak dotąd — Związek bochumski bynajmniej popularnością się nie cieszy. Świadczy o tem nie tylko bardzo szczupła liczba polaków wśród jego członków, ale i upadek „Górnika", pisma, specyalnie dla robotników polskich przez ten Związek wydawanego. Świadczy o tem nareszcie fakt, że górnicy-*socyaliści*, polacy, wolą przystępować do polsko-katolickiego stowarzyszenia wzajemnej pomocy w Bytomiu aniżeli do „neutralnego" Związku bochumskiego *) Związek bochumski liczy na Górnym Śląsku najwyżej kilkuset członków polaków, (ogólna liczba wszystkich zorganizowanych w związki fachowe w górnośląskim okręgu przemysłowym jest 2.000, w tem większość niemców), kiedy Polsko-katolicki Związek posiada 14.000 członków. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że przy wyborach w r. 1898-ym na Górnym Śląsku padło 25.000 głosów na kandydatów socyalistycznych, to — porównawszy go z równającym się prawie zeru wynikiem „neutralnej" agitacyi zawodowej wśród górnośląskiej ludności polskiej, otrzymamy pewne wskazówki, dotyczące kwestyi, która nas obecnie zajmuje.

Bo też warto zastanowić się nad tym faktem. Przesiąknięty klerykalizmem, ciemny robotnik polski zdobywa się na odwagę głosowania za kandydatem socyalistycznym, tym dyabłem, jak go odmalował ksiądz z ambony, nanarażając się na niesłychane prześladowania i utratę pracy, ale do „neutralnego" Związku zawodowego wstępować ani myśli.

---

*) Patrz A. Winter „Die Gewerkschaftsbewegung in der Polnischen Gebetsteilen Deutschlands" „Leipz. Volkszeitung" N-r 217 b. r.

Opierając się na tym i temu podobnych faktach, możemy stwierdzić błędność rozumowań tow. Gumplowicza, który traktuje proletaryat polski w zaborze pruskim według szablonu, być może (mówimy być może, bo wcale nie jesteśmy o tem przekonani) skutecznego względem niemców-katolików.

Tow. Gumplowicz zapomina, że zachodzi wielka różnica w położeniu niemców-katolików w Prusach a polaków w zaborze pruskim. O prześladowaiu *niemieckiego* katolicyzmu w Prusach obecnie trudno mówić bez pewnej przesady. Czasy Kulturkampfu dawno minęły, rząd pruski udał się do Kanossy, a centrum katolickie jest dziś stronnictwem zupełnie rządowem. Drobne szykany (nie większe od tych, na jakie katolicyzm jest wystawiony we Francyi), jakie spotykają katolików niemieckich, nie posiadają poważnego znaczenia. Prześladowany jest natomiast katolicyzm *polski*, o ile łączy się z polskością i stoi na straży tej polskością.

Nie katolicyzm jednak stoi na zawadzie szerzeniu się socyalizmu wśród ludności polskiej Prus. Wszak niesłychanie barbarzyńskie prześladowania katolicyzmu w zaborze rosyjskim wcale nie przeszkodziły powstaniu i wspaniałemu rozwojowi tam polskiego ruchu socyalistycznego. Przyczyny niedomagań ruchu socyalistycznego w zaborze pruskim należy szukać gdzieindziej — w całokształcie warunków polityczno-kulturalnych, w jakich się ten zabór znajduje.

Pruska polityka państwowa, usiłując zgermanizować swe wschodnie „kresy“, zatamowała zupełnie normalny rozwój dzielnic polskich. Prześladowanie żywiołu polskiego na wszystkich polach wyjałowiło życie kulturalne zaboru pruskiego, zabiło w nim rozwój oświaty rodzimej — polskiego szkolnictwa, polskiej nauki i literatury i skierowało całą energię polską do obrony wobec germanizacyi. Wytworzyło to stosunki rozpaczliwe. Ciemnota, fanatyzm, demoralizacya — to nieodłączne towarzystwo wszelkiego ucisku — zapanowały w zaborze pruskim we wszystkich warstwach jego społeczeństwa. W tem też leży główna przyczyna słabych postępów socyalizmu wśród proletaryatu polskiego w Prusach.

Jeżeli przyjrzymy się pierwocinom ruchu socyalistycznego w zaborze rosyjskim i austryackim, to zobaczymy, że pionierem ruchu socyalistycznego i tu i tam było młodzież akademicka, która, przejąwszy się ideałami nowej nauki, poszła do mas robotniczych i oddała się pracy klasowego uświadamiaia proletaryatu. Warszawskie, petersburskie, lwowskie i krakowskie wyższe szkoły wydały u nas pierwsze zastępy pracowników na niwie socyalistycznej. W zaborze pruskim nie było dotychczas ani jednego wypadku, ażeby wśród młodzieży uniwersyteckiej znalazł się człowiek, który by się całkowicie poświęcił pracy agitacyjnej wśród robotników. Co prawda, możnaby wymienić conajmniej kilkanaście nazwisk przedstawicieli młodzieży inteligenckiej, którzy jak mogli pomogali przy rozdmuchiwaniu iskierek świadomości klasowej ludu polskiego w zaborze pruskim, ale byli to... obcokrajowcy — królewiacy i galicyanie, z którymi policya pruska szybko dawała sobie radę, wyrzucając ich poprostu zagranicę.

Własnego socyalistycznego żywiołu inteligenckiego, tak pożytecznego i niezbędnego, zwłaszcza w początkach ruchu, kiedy masy są jeszcze zbyt ciemne, a prześladowania i nadużycia władz największe, zabór pruski wciąż jeszcze nie może się doczekać. Rząd pruski nie chce zakładać wyższych zakładów naukowych (chociażby niemieckich) na polskim obszarze Prus. I w Poznańskiem, i w Prusach Zachodnich, i na Górnym Śląsku niema ani jednego uniwersytetu, ani jednej akademii technicznej, wskutek czego polacy muszą się udawać na uniwersytet w najlepszym razie do Wrocławia, Berlina lub Gryfii, albo do innych, jeszcze dalej położonych zakładów naukowych. Na to oczywiście mogą pozwolić sobie tylko ludzie jako tako zamożni, a więc pochodzący (w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich) z najbardziej zacofanej, przesiąkniętej kastowością, nawskroś klerykalnej warstwy szlacheckiej. Większość studenteryi poznańskiej —

to właśnie synowie arystokracyi i szlagoneryi — zdemoralizowani tresurą pruską karyerowicze, lgnący do życia burszowskiego, obcy wszelkim wznioślejszym porywom. Znikoma mniejszość studenteryi, pochodząca z rodzin inteligencyi zawodowej lub z mieszczaństwa, ulega wpływom większości szlacheckiej i również dba tylko o karyerę. Z młodzieżą górnośląską jest jeszcze gorzej. Przedewszystkiem jest ona po uniwersytetach i technikach nadzwyczaj nieliczna wskutek zgermanizowania sie na Śląsku sfer inteligentnych. Następnie studenci-polacy ze Śląska — to prawie wyłącznie teolodzy. Nieliczne jednostki z pomiędzy studentów-polaków ze Śląska, nie oddające się studyom teologicznym, nie posiadają, jak ślązacy wogóle — tych tradycyi rewolucyjnych i patryotycznych, które np. w zaborze rosyjskim i austryackim pchnęły młodzież do socyalizmu.

Z tej więc młodzieży inteligentnej napróżnobyśmy oczekiwali krzewicieli socyalizmu, kiedy nawet umiarkowany kierunek w rodzaju naszej narodowej demokracyi nie posiada wśród niej zwolenników. *) Obrona języka polskiego, ziemi polskiej wobec kolonizacyi, zachowanie poczucia polskości w ludzie — oto jedyny program polityczny inteligencyi zaboru pruskiego, kierowanej przez szlachtę klerykalną lub w najlepszym razie przez bezprogramowych warchołów drobnomieszczańskich w rodzaju redaktora „Orędownika“ d-ra Szymańskiego, wahającego się w swych sympatyach pomiędzy policyą pruską a moskiewską żandarmeryą.

Proletaryat więc jest pozostawiony sam sobie, a germanizacyjna polityka rządu ściśle go spoiła z wyższemi warstwami społeczeństwa polskiego i przytłumiła w nim poczucie odrębności jego interesów klasowych, wpajając mu natomiast fanatyczną nienawiść do wszystkiego, co ma charakter niemiecki. Robotnik polski widzi, że jest prześladowany przez niemców — rząd i hakatystów — za polskość, więc utrwala się w nim poczucie łączności z polskim panem i księdzem, również za polskość prześladowanymi. Daje się tedy prowadzić na pasku tym, którzy, wywieszając sztandar obrony narodowości polskiej, jednocześnie przy tym rożnie pieką własną pieczeń klasową, nie dbając o interesy robotnika. Ciemny, niewyrobiony politycznie robotnik polski nawet nie poznaje się na tem, porwany dźwiękiem frazesów patryotycznych. Nie wie on nawet, że są środki pogodzenia obrony narodowości z obroną jego interesów klasowych... Bo i któż mu o tem miał mówić?

Socyaliści niemieccy, zjawiający się wśród robotników polskich, zgóry już byli skazani na niepowodzenie, bo ciemny polski robotnik nie ufał im jako niemcom, a po za tem agitatorowie niemieccy, nie znający ani języka, ani tradycyi ani usposobienia polskiego proletaryatu, nie umieli przemówić do niego tak, jakby tego wyjątkowe warunki położenia proletaryatu polskiego wymagały. W rezultacie zjawiło się wzajemne niezadowolenie. Robotnicy polscy podawnemu nie ufali socyalistom niemieckim, nie wyodrębniając ich z ogólnej masy niemców — a więc wrogów polskości, — a socyaliści niemieccy zrażali się do robotników polskich, uważając ich albo za ograniczoną, niedostępną dla cywilizacyi tłuszczę, albo za nienadających się do uświadamiania fanatyków narodowych.

Co innego socyaliści polscy. Ci, stojąc na gruncie programu P. P. S., potrafią wytłómaczyć ludowi polskiemu, że tylko socyalizm może szczerze bronić interesów narodowych społeczeństwa i interesów klasowych robotnika jednocześnie. Ale, ażeby to wytłómaczyć szerokim masom robotniczym, ażeby w ten sposób zdruzgotać ową zabójczą solidarność narodową mas ludowych z ich wyzyskiwaczami i ogłupiaczami, trzeba posiadać warunki odpowiednie po temu — przynajmniej takie, jakie posiadają towarzysze niemieccy w swej pracy.

Niestety warunków tych socyaliści polscy w zaborze pruskim nie posia

*) Inteligentna młodzież żydowska, która w zaborze austryackim daje tylu dzielnych agitatorów socyalistycznych, w Poznańskiem i w całym zaborze pruskim uważa się za niemiecką.

dają, gdyż jako polacy są traktowani całkiem inaczej aniżeli socyaliści niemieccy. Policya rozwiązuje im zebrania jedynie za to, że się na nich przemawia po polsku, osadza ich w więzieniach za rozpowszechnianie broszur, które w oryginałach niemieckich kursują po całych Niemczech bez żadnych przeszkód itd. Dotychczas niepodobna było przenieść „Gazety Robetniczej“ do kraju — na Śląsk lub do Poznania, gdyż policya pruska grozi prześladowaniami każdemu, ktoby się tam podjął drukowania pisma socyalistycznego. Nic więc dziwnego, że wobec wszystkich tych warunków socyalizm wśród robotników polskich w kraju nie robi prawie żadnych postępów ku wielkiemu zmartwieniu wszystkich socyalistów polskich. I musimy się z tym faktem pogodzić, że, dopóki socyalizm polski będzie rośliną berlińską, a nie krajową, dopóty nie będziemy mieli z niego pociechy.

Cóż więc robić? Odpowiedź na to może być tylko jedna. Wytężyć wszystkie siły w tym kierunku, ażeby „ukrajowić“ socyalizm w zaborze pruskim — to znaczy dać możność istniejącym już siłom pracować na gruncie poznańskim i śląskim, przenieść tam centrum naszego ruchu, dopomódz towarzyszom tamtejszym do odparcia najcięższych ciosów, jakie się nie przestaną na nich sypać w początkach roboty...

III

Jakież stanowisko mamy zająć wobec związków zawodowych odnośnie do polskiego proletaryatu w zoborze pruskim, „w zaślepieniu słuchającego rozkazów katolickiego duchowieństwa, a gardzącego „Gazetą Robotniczą“ (i, dodajmy, neutralnymi związkami zawodowymi)? Ma się rozumieć, że nie tylko nie jesteśmy przeciwnikami ani organizacyi zawodowej wogóle, ani istniejących w Niemczech związków zawodowych, ale gorąco pragniemy, ażeby polski proletaryat wstępował do nich tłumnie. Godzimy się najzupełniej z tow. Gumplowiczem, kiedy mówi, że „trzeba stanowczo agitować za wstąpieniem polskich robotników do egzystujących związków zawodowych, stojących pod kierownictwem generalnej komisyi w Hamburgu“. Uznajemy też za zupełnie słuszną zasadę, ażeby tam, gdzie polacy mieszkają w znacznej liczbie, tworzyć osobne sekcye polskie i ażeby wszelkie sekcye, złożone bądź to wyłącznie, bądź to głównie z polaków, w naradach swoich używały języka polskiego, a sekcye, złożone z mniej więcej równej ilości polaków i niemców powinny prowadzić narady w obu językach. Również najzupełniej racyonalnem wydaje się nam założenie *ogólno*-zawodowej gazety polskiej, zanim rozwój polskiego ruchu zawodowego pozwoli na zakładanie specyalnych organów dla poszczególnych fachów.

Zgadzamy się z tem wszystkiem, ale... nie wierzymy w trwałe powodzenie wszystkich usiłowań, podejmowanych w tym kierunku, dopóki w zaborze pruskim nie będzie silnego *politycznego* ruchu, kierowanego przez socyalistów polskich. Nie tylko w zaborze rosyjskim, którego stosunki wolno tow. Gumplowiczowi uważać za anomalię, ale i w zaborze austryackim (tak samo, zresztą, jak i w całej Austryi) ruch zawodowy ściśle jest spojony z politycznym. W Galicyi ruch zawodowy dopiero wówczas stanął na trwałych podstawach i począł się rozwijać normalnie, kiedy polityczny ruch socyalistyczny opanował ludność robotniczą i ujął ją w karby organizacyi. Nie mamy żadnych powodów do przypuszczania, że w zaborze pruskim stanie się odwrotnie, jak tego chce tow. Gumplowicz, tembardziej, że dotychczasowe losy naszego ruchu w tym zaborze bynajmniej jego przypuszczeń nie potwierdzają. Nie wiem, czy dużo by się dało naliczyć polskich członków niemieckich związków zawodowych, którzy by nie byli socyalistami. Zapewne bardzo mało, a może i wcale by się takich nie znalazło. Tymczasem socyalistyczny ruch polityczny bądź co bądź posiada znaczną liczbę zwolenników — i to nie tylko na emigracyi, w głębi Niemiec, ale i w samym kraju.

Ludziom tym brakuje tylko *krajowego* ośrodka, dokoła którego mogliby się skupić, brakuje warunków, które by pozwoliły bodaj tym polskim siłom agitatorskim, jakie już są po różnych Bremach, Hamburgach, Berlinach, Dortmundach powrócić do kraju i zająć się wytworzeniem polskiego ruchu socyalistycznego, który by pociągnął uciskane politycznie i narodowo, a wyzyskiwane ekonomicznie masy. Jak w Galicyi, tak i w zaborze pruskim organizacya socyalistyczna stworzy trwały polski ruch zawodowy, który sam określi swój stosunek do całości ruchu robotniczego w Niemczech... Dopóki zaś takiej silnej *krajowej* partyi socyalistycznej w zaborze pruskim niema, polski proletaryat w Niemczech skazany jest na odgrywanie roli biernego materyału agitacyjnego dla niemieckich związków zawodowych.

Niemieccy zawodowcy w ciągu ostatnich kilku lat usiłują pociągnąć robotników polskich do swych organizacyi — jak dotychczas jednakże z bardzo małym skutkiem, bo nieuświadomiony proletaryat polski nie chce przystępować do *niemieckiego* związku, bez względu na to, czy jest on neutralny w sprawach religii, czy nie. Rozumując tak, jak to robi tow. Gumplowicz, który dowodzi, że neutralne związki zawodowe mają tę właściwość, iż przyciągają niemiecko-katolickich robotników, trzeba byłoby stworzyć jakieś neutralne *narodowo* związki dla robotników-polaków, prześladowanych głównie ze względu na narodowość, a nie z powodu wyznania. To jest jednakże zupełnym nonsensem, bo związki muszą posiadać cechy narodowościowe, bądź niemieckie, bądź polskie, bądź też niemiecko-polskie — mieszane. Otóż niemcy starają się wytworzyć takie związki, które by, nie przestając być niemieckimi, gwarantowały swym polskim członkom jakie takie równouprawnienie w postaci polskich mów, odezw, w końcu pism. Mówimy starają się, gdyż usiłowania te przeważnie nie wychodzą po za fazą projektów, przynajmniej w olbrzymiej większości związków. De facto więc robotnik-polak, należąc do niemieckiego związku, o ile nie zna języka niemieckiego, ma bardzo problematyczną korzyść z tego należenia. Jedyną poważną próbą wyjścia z dziedziny projektów dotychczas było wydawanie w ciągu $1^1/_2$ roku „Górnika“. Ale i ta próba skończyła się niepowodzeniem. „Górnik“ jako pismo *niemieckie*, wydawane w języku polskim, nie uwględniał w dostatecznej mierze interesów polskich górników, w sprawie słynnych rozporządzeń kopalnianych w Westfalii, zraził tem do siebie robotników-polaków i upadł, nie czytany przez nich.

Nie chcemy przesądzać losu zamierzonego ogólno-zawodowego pisma bytomskiego, o którem pisze tow. Gumplowicz, owszem życzymy temu organowi powodzenia całkiem szczerze; ale na podstawie znajomości dotychczasowej praktyki zawodowców niemieckich nie możemy się zbyt optymistycznie zapatrywać na jego przyszłość. Wszystko naturalnie zależy od tego, jak to pismo będzie prowadzone, czy „zgłosi się na redaktora towarzysz polak, znający również dokładnie tradycye i skłonności ludności polskiej, jak i specyalne potrzeby ruchu zawodowego“ i, jeśli się zgłosi, to *czy będzie mógł* pracować tak, jakby mu nakazywała „znajomość tradycyi i skłonności“ proletaryatu polskiego?

Co do tego ostatniego, to jesteśmy dość pesymistycznie usposobieni. Ot np. tow. Gumplowicz mówi o potrzebie polskich sekcyi w związkach zawodowych, tymczasem dr. Winter z Bytomia w artykule, na który powoływaliśmy się wyżej, uważa wszelką myśl o polskich filiach niemieckich związków zawodowych poprostu za zbrodnię, zdradę, socyalpatryotyzm i bóg wie co jeszcze. A przecież taki Winter, siedząc w Bytomiu, nie tylko będzie chciał oddziaływać na pismo bytomskie, ale i będzie do spółki z panną Luksemburg denuncyował każdy artykuł tego pisma, napisany „ze znajomością tradycyi i skłonności ludności polskiej“, za socyalpatryotyzm wobec Zarządu związków i przed partyą niemiecką, jako „znający stosunki miejscowe“.

A w rezultacie powstanie nowe źródło wzajemnego rozgoryczenia, wzajemnej nieufności towarzyszy polskich a niemieckich, polski zaś proletaryat podawnemu w masie swej będzie stronił i od jednych i od drugich. Ma się rozumieć, że wolimy, ażeby polscy członkowie związków niemieckich otrzymywali gazetę, którą bodaj zrozumieją, zamiast całkiem lub bardzo źle rozumianych fachblatów niemieckich, ale nie łudzimy się, że niemiecka agitacya zawodowa, chociażby za pomocą polskiego organu, przyczyni się do rozwoju socyalizmu w polskich dzielnicach Prus. Nie przestaniemy zachęcać robotników polskich, ażeby wstępowali do istniejących związków zawodowych, ażeby żądali tam polskich agitatorów, odczytów i odezw, ale najsilniejszy nacisk musimy położyć na wytworzenie w zaborze pruskim silnego samodzielnego socyalistycznego polskiego ruchu politycznego.

L. Pł.

STREJK POWSZECHNY*)

Nie bez pewnego zdziwienia bierzemy do rąk popularną broszurkę *po-polsku* pisaną, a więc przeznaczoną dla *polskich* robotników, traktującą o czemś tak obcem dla nas, jak sprawa strejku powszechnego. Sprawa to dla nas tak nieaktualna, tak daleka od wszystkich bezpośrednich — bliższych i dalszych naszych zadań partyjnych, że nic dziwnego, jeśliśmy się dotychczas nad nią nie zastanawiali.

Nie chcemy bynajmniej utrzymywać, że wcale nie należało o strejku powszechnym pisać dla polskich czytelników... Wszak, jak powiada tow. Zieliński, „od dziesięciu przeszło lat myśl strejku powszechnego jest na porządku dziennym niemal wszystkich poważniejszych zebrań i kongresów robotniczych tak w Paryżu, jak i na prowincyi we Francyi.“ „W roku zaś wystawowym 1900 na dwudziestu francuskich zjazdach zawodowych, oraz na kongresie giełd pracy i na kongresie związku wszystkich syndykatów, gdzie blizko pół miliona zorganizowanych robotników było reprezentowanych, — sprawa strejku powszechnego zajmowała pierwszorzędne miejsce, wszędzie dyskutowano, jak doń należy przygotowywać się, i zawsze rozchodzono się z pieśnią „Międzynarodówki“ i z okrzykiem „Niech żyje strejk powszechny.“ Wobec tego bylibyśmy tow. Zielińskiemu bardzo wdzięczni, gdyby chciał czytelników polskich zapoznać z poglądami towarzyszy francuskich i wogóle ze stanem tej sprawy we Francyi na łamach „Przedświtu“, gdzieby kwestya mogła być — w drodze polemiki — wyjaśniona wszechstronnie.

Inaczej ma się rzecz z popularną broszurą, przeznaczoną dla rozpowszechniania w masach. W broszurze, wprost ze względu na jej popularność, sprawa musiała być przedstawiona tylko w najogólniejszych zarysach, szkicowo i jednostronnie. Wskutek tego czytelnik, mniej krytycznie usposobiony, kwestyi dobrze nie zgłębi i przez to żadnej korzyści nie odniesie...

Ale przyjrzyjmy się treści broszury tow. Zielińskiego.

Strejkiem powszechnym tow. Zieliński nazywa taki strejk, „do którego staną wszyscy robotnicy, a przedewszystkiem górnicy, kolejarze, piekarze, mechanicy i t. d.“ Ma on obejmować nie tylko jakiś pewien kraj, ale „wszy-

*) Strejk powszechny. Napisał dr. Józef Zieliński. Paryż 1901.

stkie państwa", a więc musi być międzynarodowym. Strejk powszechny według zdania tow. Zielińskiego jest „mniej zwodniczą, krótszą, a może i mniej krwawą" drogą do osiągnięcia ideału socyalistycznego, ideą „o wiele łatwiejszą od innych do urzeczywistnienia".

Ażeby ocenić mniejszą lub większą łatwość wykonania strejku powszechnego, musimy się przyjrzeć warunkom jego powodzenia, którym tow. Zieliński poświęca rozdział czwarty swej broszury.

Najpierw wszyscy, a przynajmniej znakomita część robotników powinna być gruntownie uświadomiona tak co do swego obecnego położenia, jak i co do celów ostatecznych ruchu robotniczego. Następnie „niedość, ażeby robotnicy byli uświadomieni co do niesprawiedliwości dzisiejszego ustroju i co do konieczności głębokiej rewolucyi społecznej, — muszą oni przedstawiać jeszcze wielką zorganizowaną siłę, zwartą masę, przed którą nie ostoi się kapitalizm z całym swoim arsenałem". Organizacya zawodowa (bo tę ma na myśli tow. Zieliński) „podczas wybuchu powszechnego strejku stanowić będzie niemal najważniejszą gwarancyę jego powodzenia" i dzięki jej to „robotnicy sami zaraz nazajutrz po rewolucyi potrafią zaprowadzić ład". Dalej — „robotnicy we wszystkich państwach muszą być przygotowani, tworzyć jakby jeden wszechświatowy robotniczy związek". Mało tego. Kobiety (o ile mogliśmy zrozumieć, to tow. Zieliński ma na myśli kobiety *wszystkich* warstw społecznych) muszą być zwerbowane pod sztandar rewolucyi „gdy bowiem nadejdzie chwila strejku powszechnego, a za nim i rewolucyi społecznej, kobiety mogą przeważyć na szali zwycięstwa". W końcu za pomocą usilnej propagandy w armii „musimy przekonać żołnierzy, choć znaczną garść ich, że są służalcami nie narodu, ale uprzywilejowanej kasty, żyjącej z krwawej pracy ludu. Musimy ich uświadomić, że w razie wybuchu powszechnego bezrobocia zbrodnią byłoby z ich strony zająć miejsce strejkujących robotników, a hańbą, za którą ścigałyby ich całe pokolenia, podnieść broń przeciw proletaryatowi walczącemu za wolność". Nareszcie solidarność robotników powinna być rozwinięta w jaknajwiększej mierze, gdyż „do powodzenia strejku powszechnego solidarność robotników jest wielce niezbędną, — stokroć potrzebniejszą niż przy każdej innej rewolucyi społecznej".

Najzupełniej zgadzamy się z tow. Zielińskim, że „gdy robotnik we wszystkich krajach będzie uświadomiony i zorganizowany oraz przejęty uczuciem solidarności, gdy kobieta przebudzi sie z dzisiejszego odrętwienia, gdy żołnierz pozna, iż jest obydnem narzędziem w ręku wyzyskiwaczy cierpiącego ludu" — że wówczas strejk powszechny się uda. I nie tylko strejk powszechny, ale wszystko bez wyjątku, czego tylko proletaryat zarząda. Wszak wobec olbrzymich mas międzynarodowego proletaryatu — uświadomionego, zorganizowanego, solidarnego — na placu się znajdzie bezsilna garść mężczyzn z burżuazyi, pozbawionych nie tylko wojska, ale i poparcia własnych żon, siostr i matek. Gdyby proletaryat chciał cierpliwie czekać (może wieki całe!) na tę szczęśliwą sytuacyę, toby wówczas powiedział owym członkom burżuazyi: „no teraz bierzcie się do pracy, bo niniejszem zaprowadzamy ustroj kolektywistyczny i basta". Nie potrzebowałby ani strejku urządzać, ani rewolucyi wywoływać, ani barykad stawiać, gdyż przeciwnicy jego byli by na to zbyt śmiesznie słabi i nędzni...

Tow. Zieliński sam to widać rozumie i — popełnia niekonsekwencyę. W rozdziale czwartym, przystępując do wyliczania wszystkiego tego, cośmy za nim wyżej powtórzyli, mówi: „Oto ważniejsze *warunki* *) powodzenia strejku powszechnego", w rozdziale zaś piątym mówi: „Zawsze i wszędzie trzeba

*) Kursywa sprawozdawcy.

uświadamiać masy w kierunku wskazanym, nigdy nie zbaczać od ideału, trzeba gruntownie spropagować *pewną ilość* robotników, kobiet, żołnierzy oraz posiadać *garść* ludzi zupełnie wyrobionych z żelaznym charakterem, pełnych odwagi i poświęcenia — ale *naiwnem byłoby czekać ze strejkiem powszechnym, aż znakomita większość proletaryatu, kobiet i armii zrozumie i nauczy się naszego pacierza.*" Niekonsekwencya ta obraca w niwecz całe rozumowanie. Albowiem jasnem jest, że strejk powszechny, wzniecony bez warunków powodzenia, nie może się zakończyć niczem innem jak... niepowodzeniem, a więc byłby wprost szkodliwym.

Przypuśćmy jednak na chwilę, że niemożliwość jest możliwą, że „*garść*" ludzi zupełnie wyrobionych, z żelaznym charakterem, pełnych odwagi i poświęcenia" skorzysta z uświadomienia „*pewnej ilości* robotników, kobiet, żołnierzy" i, porwawszy za sobą cały nieuświadomiony proletaryat, wywoła strejk powszechny i wygra go. Cóż wówczas nastąpi? Może „zaprowadzenie" ustroju kolektywistycznego? Bynajmniej. Niedostateczne uświadomienie i solidarność większości proletaryatu nie pozwoli owej garści „nowy zaprowadzić ład", z chaosu, który musi zapanować w stosunkach społecznych, skorzysta reakcya i finita la commedia! Do wytworzenia owych form ustroju nie wystarczy zapału, który może być dostatecznym przy jakiejś manifestacyi, rozruchach lub nawet walce barykadowej. Nieuświadomione, niezsolidaryzowane masy same powrócą do jarzmu ustroju z przed strejku powszechnego — powrócą zniechęcone, upokorzone, uprzednio wytępiwszy ową „garść", która przedwcześnie zabrała się do radykalnej zmiany stosunków społecznych.

Na szczęście proletaryatowi międzynarodowemu bynajmniej nie grozi taka straszna klęska, ponieważ pomiędzy sympatyami, jakie mogą czuć dla strejku powszechnego chociażby dziesiątki zjazdów zawodowych robotników francuskich, a poważnem zajmowaniem się tą sprawą na całym świecie leży przepaść wprost niezgłębiona. Dziś, kiedy nawet w Europie istnieją całe kraje, w których ruch robotniczy stawia dopiero pierwsze kroki, kiedy w najbardziej cywilizowanych państwach do organizacyi zawodowych należy zaledwie drobna część proletaryatu, sprawa strejku powszechnego jest czemś tak nierealnem, że wcale nie potrzebujemy nim sobie głowy zaprzątać. Dlatego też miał najzupełniejszą słuszność kongres paryski, nie traktując tej sprawy seryo, a zwracając uwagę na organizacyę zawodową mas robotniczych, „ponieważ od stopnia rozwoju organizacyi zależy sprawa rozszerzenia strejku na całe gałęzie przemysłu albo kraje" *)

Jakiż sens dla nas, polaków, może mieć idea strejku powszechnego? Wszakżeż kraj nasz jest pozbawiony niemal wszystkich warunków, umożliwiających przygotowywanie się do strejku powszechnego, co uznaje przecież i sam tow. Zieliński. W zaborze rosyjskim organizacya zawodowa na sposób zachodnioeuropejski jest utopią, na której boleśnie sparzyli się zwolennicy „kas oporu" itp. organizacyi, przynoszących raczej szkodę ruchowi, aniżeli pożytek **). A już na gorżką ironię zakrawa rada tow. Zielińskiego, abyśmy zaczęli prowadzić poważną rewolucyjno-socyalistyczną propagandę „i między żołnierzami rosyanami lub niemcami, których nam przysyłają zaborcze rządy"... Socyaliści polacy są pozbawieni najelementarniejszych swobód — prawa stowarzyszania się, strejkowania, zgromadzania się, nie posiadają jeszcze nawet niepodległości narodowej, która by zabezpieczyła ich od sprowadzenia przez rząd zaborczy ciemnych robotników rosyjskich na miejsce strejkujących lub stłumienia

*) Patrz uchwały zjazdu — „Przedświt" Nr. 10 A. 12.

**) Patrz „Polska Partya Socyalistyczna w ostatnich pięciu latach" str. 12—13.

strejku przez dzicz żołdactwa moskiewskiego, i wobec takich warunków mają myśleć o strejku powszechnym! Chyba by zatracili całkowicie poczucie rzeczywistości.

Należy zaznaczyć, że tow. Zieliński pragnie międzynarodowego rewolucyjnego strejku powszechnego dla uzyskania odrazu *maximum* żądań socyalistycznych; ogólne bezrobocie w pewnych krajach dla osiągnięcia powszechnego tajnego głosowania, ośmiogodzinnego dnia pracy itp. uważa natomiast za *„niepożądane próby“*, czem się różni zasadniczo od wszystkich socyalistycznych zwolenników (dziś już zresztą bardzo nielicznych) strejku powszechnego poza Francyą.

St. O.

Z PRASY

Rosyjskie pismo rewolucyjne „Nakanunie“ zamieszcza ciekawą korespondencyę z nad Amuru, w której dokładnie odźwierciadlają się dzikie instynkta zaborców rosyjskich, *) Korespondent pisma londyńskiego pisze:

„Nie napróżno się mówi, że obecna akcya wojenna na wschodzie nie może być uważana za wojnę, gdyż ta nie jest wypowiedziana. Nie może być uważana za wojnę i ze względu na swój charakter, ponieważ jest wprost rzezią, dokonywaną na spokojnych mieszkańcach. Wzdłuż całego Amuru dokazują kozacy, rozbestwieni rezerwiści i wszelkiego rodzaju woloutaryusze, podjudzani przez policyę przeciwko spokojnym, bezbronnym mandżurom i chińczykom. Tępią wszystkich, nie wyłączając starców, kobiet i dzieci. Rozporządzenie policmajstra błagowieszczeńskiego nakazywało zrewidować obywateli, ażeby odkryć, czy kto nie ukrywa chińczyków, i oto różni szubrawcy wzięli się do rewizyi. Jedno z rozporządzeń miejscowego gubernatora wojennego powoływało „zuchów-kozaków“ do załatwienia się z chińczykami, „nie tracąc czasu na uzyskiwanie niepotrzebnych pozwoleń“. Z nakazu gubernatora rozporządzenie to zostało odczytane we wszystkich stanicach kraju. Ażeby podjudzić mieszkańców Błagowieszczeńska przeciwko chińczykom, policmajster Batarewicz osobiście jeździł po mieście i rozpowszechniał pogłoski, że podczas rewizyi u spokojnych chińczyków Błagowieszczeńska znaleziono dynamit i rozmaitą broń, że gotowi byli wyrznąć miasto itd.

Przed rozpoczęciem się akcyi wojennej mieszkający w Błagowieszczeńsku chińczycy zwrócili się do policyi z prośbą o wypuszczenie ich na prawy, chiński brzeg, ponieważ boją się gwałtów ze strony rosyan. Policya zapewniła ich słowem honoru, że znajdują się w zupełnem bezpieczeństwie, że ochrania ich rząd rosyjski itd. Tymczasem pierwszegoż dnia wzajemnego ostrzeliwania się z Sachalinem (wioska, położona po chińskiej stronie) policmajster Batarewicz kazał zgromadzić wszystkich chińczyków, którzy mieszkali w mieście i w okolicach i wyprawić ich „w bród“ (nieistniejący) przez Amur (szerokość jego przenosi wiorstę i rzeka ta jest bardzo bystra). Przeszło trzy tysiące spokojnych chińczyków, otoczonych kozakami i rezerwistami pod komendą komisarza policyjnego oraz wszelką hołotą, zostały wypędzone za miasto, gdzie je nahajami, biciem i wszelkiego rodzaju znęcaniem się wpędzono do wody. Chińczycy brnęli, dopóki to było możliwe, ale w końcu zatrzymali się, nie odważając się płynąć: wówczas poczęto ostrzeliwać ich kartaczami

*) W następnym N-rze damy artykuł o polityce Rosyi w Chinach.

i kulami... Z całej partyi pozostało przy życiu zaledwie kilka osób. W ten sposób utopiono w samym Błagowieszczeńsku trzy duże partye chińczyków. Komisarze policyjni, pod komendą których odbywały się te zwierzęce igrzyska, zapraszali listownie swoich znajomych na „topienie chińczyków“ jak na wesołe widowisko. Często, wpędzając chińczyków do rzeki, związywano ich warkoczami po kilka osób.

„Obecnie brzegi Amuru są spustoszone zupełnie; nigdzie niepodobna zobaczyć ani jednego żywego chińczyka. Po kilku osadach chińskich, które powstały były wzdłuż traktu ajguńskiego na lewym brzegu Amuru i spokojnie żyły dotychczas obok rosyan, nie pozostało ani śladu. Trupy chińczyków tak przepełniły rzekę, że płynąć łódką można tylko wówczas, jeśli się je rozpycha. Woda w rzece absolutnie niemożliwa do picia, wzbroniono też ją brać; nawet ryba ginie w rzece w olbrzymich ilościach. Smród trupów gnijących rozpowszechnia się daleko w okolicach“.

* * *

Niemiecka prowincyonalna prasa partyjna znowu zajmuje się panną Różą Luksemburg — nie z powodu jej działalności publicystycznej, tylko ze względu na jej nieprzyzwoite zachowywanie się wobec towarzyszy. Panna Luksemburg wyraziła się mianowicie wobec pewnego księdza o zjeździe moguckim jako o „zgromadzeniu zer“. Wiadomość o tem wydrukowało pewne pismo burżuazyjne. Ma się rozumieć, że podobny wybryk do głębi oburzył towarzyszy niemieckich, którzy publicznie poczęli się zastanawiać nad kwestyą, czy taka „towarzyszka“ może nadal pozostawać w partyi.

„Volkstimme“ — niemiecki organ partyjny, wychodzący w Kamienicy saskiej (Chemnitz) pisze w tej sprawie:

„Cóż ma się stać z Różą Luksemburg? Czy ma być wyrzucona z partyi? Nie jesteśmy za tem. Niech sobie gada o inteligencyi członków naszego kongresu lub o członkach partyi wogóle, ce się jej podoba, w każdym razie “zera„ kongresu były roztropniejsze od tej genialnej damy, gdyż wystrzegały się ogłaszać tę mdlejącą od wystrzału moździerzowego ciętą przedstawicielkę tak zwanego „radykalizmu“ za socyalnodemodemokratyczną Joannę d'Arc“.

Na to odpowiada karlsruheński dziennik „Volksblatt“:

„I my nie myślimy bynajmniej o tem, ażeby zgotować tej pannie tryumf skierowanej przeciwko niej wielkiej akcyi. Do tego niema powodów. Ale do czego kiedyś na kongresie przyjść musi i przyjdzie, to do żywiołowego wybuchu ożywczej brutalności i bezwzględności w stosunku do tej damy, która pokrywa brak uczuć partyjnych tanimi fajerwerkami i pseudonaukowymi frazesami, co właśnie tej — gęsi kapitolińskiej zarzucamy. Przyswoiła sobie jedynie formułki i schematy rozumowania socyalistycznego, jest najzwyklejszym automatem, który za wrzuceniem najbzdurniejszych 10 fenigówek — pytań marksistowskich, natychmiast daje stereotypowe odpowiedzi, ale przy tem wszystkiem ta hałaśliwa dama swojemi wystąpieniami w partyi, a *zwłaszcza na zewnątrz partyi* wciąż tę ostatnią kompromituje. Jeśli ta polska dama mówi o kongresie niemieckim, na którym byli obecni nasi najstarsi, najdoświadczeńsi przywódcy, jako o „zebraniu zer“, w takim razie można podejrzewać, że przychodzi do nas jedynie dla podszczuwania (Stänkerns halber — wyraz ten ma i mniej przyzwoite znaczenie), a w takim razie nie jest to już grzeczność, ale słabość i sentymentalizm „równouprawnienia“, jeśli się na to cierpliwie patrzy. Kto tak o najwyższej reprezentacyi partyjnej mówi, ten nie może być z tego powodu wyrzucony, ponieważ w takim wypadku mogłoby się zdawać, jakoby się partya gniewała na ocenę tej „towarzyszki“. Nie podobna przecież gniewać się na pasorzyty, ale bronimy się od nich, nie uwłaczając w niczem naszej godności“.

Notujemy te głosy jako pocieszający dowód, że i towarzysze niemieccy

poczynają się poznawać na moralnej wartości tej pani. Nadmieniamy tu jeszcze, że cała ta sprawa miała niezbyt przyjemny dla panny Luksemburg epilog wobec zarządu partyi niemieckiej.

* * *

„Kraj“ petersburski podaje następującą wiadomość:

Na sesyi w Mińsku Izba sądowa wileńska rozstrzygała sprawę czterech młodzieńców żydowsktch, oskarżonych o *opór władzy*. W kwietniu r. b. policya wykryła mnóstwo wezwań w języku żydowskim, rozrzuconych i rozklejonych w mieście. W odezwach tych nawoływano robotników do obchodu majowego. Jakoż istotnie o godz. 11 wieczorem d. 18 kwietnia tłum młodych robotników żydowskich, w liczbie około 50 osób, wywołał zbiegowisko ludzi na skwerze teatralnym i śpiewać począł coś w rodzaju marsylianki. Policya zatrzymała czterech prowokatorów, przyczem tłum usiłował ich wydrzeć i poturbował stójkowych. Izba skazała jednego z aresztowanych żydów na 6 tygodni aresztu przy policyi, pozostałych zaś trzech uwolniła“.

W najwyższym stopniu dziwne..,

Z KRAJU I O KRAJU

Szkice z Zagłębia Dąbrowskiego.

II.

W pierwszym szkicu mówiliśmy o „inteligencyi“ Zagłębia Dąbrowskiego Teraz przyjrzyjmy się ludności roboczej, z której składa się przeważna część mieszkańców Zagłębia. Ludność ta różni się tem przedewszystkiem od „inteligencyi“, że należy do stałych mieszkańców Zagłębia, nie tak, jak większa część inteligencyi, która wciąż napływa i odpływa tak z innych stron kraju, jak i zzagranicy. Wprawdzie nie wszyscy robotnicy pochodzą z Zagłębia. Rok rocznie przybywa ich sporo i z sąsiednich okolic. Los jednak tych przybyszów jest inny niż przybyszów-inteligentów. Znalazłszy się raz w Zagłębiu, nie porzucają go już zwykle do końca życia. Wtedy gdy „inteligent“ — inżynier, buchalter technik ze średniem wykształceniem — przybywa do Zagłębia z różowemi nadziejami na przyszłość, widząc przed sobę drogę otwartą do największych urzędów w fabrykach i kopalniach, robotnik może marzyć tylko o tem, aby dostać zajęcie, a później ciężko pracować, pracować i pracować bez wytchnienia, bez nadziei nawet, że kiedyś dla niego skończy się ta katorga i nastaną lepsze czasy. Pan inżynier, gdy mu szczęście nie dopisze w Zagłębiu, wyjeżdża sobie do Rosyi, gdzie zawsze znaleźć można korzystną posadę. Robotnik, choć dostanie ciężką i źle opłacaną pracę, musi się godzić z losem, bo lepszej znaleźć nie tak łatwo. Zarabia zaledwie tyle, ile może mu starczyć na skromne utrzymanie. Trudno rzucać mu pracę, aby szukać innej lepszej, bo z czego będzie żył w czasie poszukiwania nowego zajęcia? Wracać zaś na wieś do stron rodzinnych, skąd go nędza wygnała, nie ma po co. Pozostaje jedno: zostać na miejscu, bo tu przynajmniej jest praca, choć bardzo licha, ale zawsze praca.

Przy coraz większym rozwoju przemysłu w Zagłębiu, coraz więcej napływa robotników z innych okolic. Tem można wytłómaczyć bardzo szybki wzrost ludności Zagłębia i, co za tem idzie, gorączkę budowlaną, na której różnego rodzaju spekulanci dorabiają się w krótkim czasie wielkic majątków

Ile jest wszystkich robotników w Zagłębiu. to bardzo trudno obliczyć wobec mnóstwa drobnych przedsiębiorstw, gdzie liczba zajętych robotników wciąż ulega zmianie. Najwięcej jest górników w kopalniach węgla kamiennego. W roku 1867 było pracujących w kopalniach ogółem 13126, a w tej liczbie 200 kobiet. W roku 1896 kopalnie zatrudniały więcej robotników, bo 13755; w ostatnich jednak latach zmniejszono produkcyę węgla (choć zapotrzebowanie jest daleko większe niż dawniej!). a wskutek tego i liczbę górników i ich pomocników. Następnie co do liczebności idą robotnicy, zatrudnieni w zakładach metalurgicznych. W czterech takich zakładach („Huta Bankowa", „Huta Katarzyna", „Milowice", „Puszkin") pracuje aż 6300 robotników. Trzecie miejsce co do ilości robotników zajmują przędzalnie wełny. Jest ich trzy. Pracuje w nich 5000 osób, z czego połowę stanowią kobiety. Z większych fabryk „Zakłady kotlarskie i mechaniczne Fitznera i Gampera" w Sielcu zatrudniają 1600 robotników i „Fabryka rur i żelaza" w Sosnowcu 1650. Z tego widzimy, że tylko w kopalniach (większych kopalń jest obecnie czynnych 19) i 9 większych fabrykach jest około 28 tysięcy robotników. Jeżeli do tej liczby dodamy ilość robotników zatrudnionych w hutach cynkowych, kopalniach galmanu, kopalniach kamienia wapiennego, wapiennikach, walcowni cynku, fabrykach chemicznych, młynach parowych, piekarniach, fabryce szkła, cementu, śrutu, lin stalowych, papieru, gwoździ, cegielniach, browarach parowych itd, to z pewnością otrzymamy liczbę, wynoszącą około 40 tysięcy, a może i więcej. Część robotników Zagłębia, mniej więcej 2 % — 3 % stanowią poddani austryaccy i pruscy; pierwsi pochodzą przeważnie z Galicyi, drudzy z Górnego Śląska.

Cała ta 40-ciotysięczna armia robotnicza wraz z rodzinami mieszka przeważnie w kilku najbardziej przemysłowych osadach Zagłębia: Dąbrowie, Sielcu, Niwce, Zagórzu, Niemcach. W Sosnowcu z powodu nadzwyczajnej drożyzny mieszkań mniej mieszka robotników, natomiast dużo w osadach, leżących tuż pod Sosnowcem: Pogoni, Wygwizdowie i innych. Z wyjątkiem Zagórza, gdzie jest tylko jedna kopalnia i fabryka (huta cynkowa), wszystkie te osady i wsie fabryczne są gęsto zabudowane, haniebnie brudne i pełne błota lub kurzu. Domy fabryczne, w których mieszka część robotników, są zwykle zbudowane podług jednego planu. Są to jedno lub dwupiętrowe kamienice, ustawione w szeregi. Mieszkanie w tych domach składa się albo ze stancyi z kuchnią, albo z jednej tylko stancyi. Cena za takie mieszkania dochodzi do 5 rubli miesięcznie. Mieszkania te, choć są stosunkowo bardzo drogie, pozostawiają wiele, bardzo wiele do życzenia. Najpierw system koszarowy ma tę niedogodność, że w jednym domu mieszka wiele rodzin, wskutek czego trudno utrzymać go w porządku. Dalej nader złą stroną domów fabrycznych jest to, że są one położone zazwyczaj przy samej fabryce, czyli że są one pozbawione tego, co stanowi największą zaletę mieszkania — czystego powietrza. Ale najgorszą stroną tych domów jest to, że należą do właścicieli kopalń i fabryk, wskutek czego robotnik, który opuszcza pracę (wszystko jedno z własnej winy czy nie), musi natychmiast wyprowadzić się z fabrycznego mieszkania. Przy tem wszystkiem mieszkania fabryczne należą w Zagłębiu do najlepszych mieszkań robotniczych. Nie mogą one jednak pomieścić całej ludności roboczej i wielu bardzo musi mieszkać u włościan w okolicznych wsiach, oddalonych nieraz o kilka wiorst od fabryki, w której pracują. Nizka, ciemna, bez podłogi izba — to zwykłe mieszkanie robotniczej rodziny, mieszczącej się nie w domu fabrycznym. Czasem nie chce się wierzyć, gdy się zobaczy taką izbę i ze zdumieniem dowiaduje się, że tu oprócz licznej rodziny mieszkają jeszcze „kwaternicy", t. j. nieżonaci robotnicy, odnajmujący „mieszkania", raczej kąty izb przy rodzinach. W takich izbach wiecznie zastać można śpiących, gdyż przy istnieniu nocnej roboty we wszystkich niemal fabrykach i kopal-

niach Zagłębia, zawsze się znajdzie wśród lokatorów takiej izby ktoś, co miał nocną robotę, a teraz w dzień stara się wypocząć.

Jak drogie i niewygodne są mieszkania w Zagłębiu, tak również drogie i częstokroć podrabiane są środki spożywcze. Wskutek tego ludność robocza odżywia się bardzo źle. Ziemniaki, kapustę, chleb i kawę najgorszego gatunku — z niewielkim dodatkiem mleka — zbyt często spotkać można na stole robotnika, ale za to rzadziej mięso i masło. Zmuszony brać na kredyt ze sklepików, robotnk dostaje wszelkie towary w najgorszym gatunku, ale nie za najniższą cenę. To wieczne siedzenie w długach u sklepikarzy zawdzięcza on temu, że otrzymuje wypłatę raz tylko na miesiąc (na dwa tygodnie przed wypłatą może otrzymać tylko niewielką zaliczkę).

Zresztą ani mieszkać lepiej, ani odżywiać się dostatecznie robotnik Zagłębia nie mógłby, gdyż przy istniejącej drożyznie mieszkań i środków spożywczych zarabia on stosunkowo niewiele. Najlepiej płatni są hutnicy, bo zarabiają do 2 rs. 50 kop. dziennie. Dodać jednak należy, że tylko ci hutnicy zarabiają tyle, którzy mają niebezpieczną robotę lub gdy pracują w oddziałach hut, potrzebujących wykwalifikowanych robotników np. ślusarzy. Natomiast inni zarabiają częstokroć bardzo mało. Tak np. palacze przy wielkich piecach zarabiają dziennie od 70 kop. do 1 rs. 75 kop., choć praca ich jest bardzo ciężka. Robotnicy w oddziale odlewów stali zarabiają nieraz tylko po 50 kop., a robotnicy przy wyrobie szyn kolejowych po 60 kop. Da się to tem wytłómaczyć, że w hutach rozpowszechniona jest robota akordowa, przy której robotnicy najwięcej są wyzyskiwani. Wogóle jakiejś przeciętnej płacy dziennej dla robotników w Zagłębiu wyprowadzić nie można, gdyż każda fabryka inaczej opłaca robotników. To samo jest w kopalniach: i tu w rozmaitych kopalniach rozmaicie płacą. I w fabrykach i w kopalniach istnieje przeważnie robota akordowa. Górnikowi płacą od ilości wydobytego przezeń węgla. Przy wypłacie potrącają mu za proch, dynamit i t. p. rzeczy, które bierze na rachunek z kopalni. Średnio zarobek dzienny górnika waha się między 1 rs. 20 kop. a 1 rs. 80 kop. Dzienny zarobek ładowacza (pomocnik górnika) od 75 kop. do 1 rb., a innych robotników w kopalni od 60 kop. do 75 kop. Kobiety (zwykle zajęte przy sortowaniu węgla) i młodzi robotnicy, pracujący „na wierzchu“, otrzymują po 30 kop. do 40 kop. dziennie. Zważywszy na ciężką pracę w kopalni, na szybkie niszczenie się odzieży i obuwia robotników, a z drugiej strony zważywszy na kolosalne zyski, jakie ciągną obecnie właściciele kopalń, śmiało twierdzić można, że płaca górników i ich pomocników jest bardzo niska. Są oni tak wyzyskiwani dlatego, że stanowią może najmniej oświeconą część robotników Zagłębia. Do kopalni wstępuje zwykle tylko ten, kto nie może znaleść pracy w fabryce. Każdy szuka zajęcia w fabryce przedewszystkiem dlatego, że w fabrykach zwykle lepiej płacą, a powtóre dlatego, że nie jest narażony na takie niebezpieczeństwo, jak w kopalniach. Przy wstępowaniu do kopalń nie zostaje się odrazu górnikiem, lecz najpierw ładowaczem. Aby zaś nim zostać, dość jest posiadać zdrowie, gdyż ani specyalnych zdolności, ani jakichś wiadomości z górnictwa nie potrzeba. Dlatego do kopalń udają się częstokroć ci, którzy okazali się niezbyt uzdolnionymi do roboty np. w hucie lub innej jakiej fabryce.

Praca przy grożącem bezustannie niebezpieczeństwie usposabia górników do rozmaitych zabobonów i wierzeń. Rzadko który górnik np. nie wierzy w Skarbnika (duch kopalni), a wielu starszych górników z najgłębszem przeświadczeniem opowiada, że widzieli Skarbnika, czy to w postaci sztygara, czy w jakiej innej. Skarbnik, jak twierdzą górnicy, ostrzega przed każdem niebezpieczeństwem. Ukazanie się jego w podziemiach niechybnie zwiastuje jakieś wielkie nieszczęście. Niestety Skarbnik w naszych kopalniach zbyt często zmuszony jest dawać znaki w celu ostrzeżenia górników przed grożącem niebezpieczeństwem

bo nieszczęśliwych wypadków bywa kilkaset rocznie. W r. 1868 było ich 361, a z tych 57 śmiertelnych, czyli na 1000 pracujących w kopalni 4,3 poniosło śmierć*). Nigdzie w kopalniach węgla w Europie nie zdarza się chyba tyle wypadków, zwłaszcza śmiertelnych, co u nas. Nawet w Zagłębiu Dońskiem jest mniej wypadków. Podczas 8-letniego okresu (1885 — 1892) na tysiąc pracujących w kopalniach było zabitych rocznie: w Zagłębiu Dońskiem 2,31 robotników, a w Zagłębiu Dąbrowskiem — 3,88**). We Francyi na 1000 górników wypadków śmierci bywa tylko 1,54.

Wypadki w kopalniach naszych, nie kończące się śmiercią, kończą się często ciężkiem kalectwem na całe życie.

Ilu tam już leżało w szpitalach fabrycznych górników z połamanemi rękami, nogami, zgruchotanemi czaszkami itp.?! A ilu ich tam umarło? Tego nie wiemy, bo w statystyce nieszczęśliwych wypadków w rubryce zabitych w kopalniach zamieszczają tylko tych, którzy ponieśli śmierć na miejscu. Gdybyśmy do tej rubryki wpisywali i wszystkich tych, którzy umarli w szpitalach wskutek skaleczenia w kopalni, to otrzymalibyśmy nie 4,3 zabitych górników na tysiąc pracujących, lecz jeszcze więcej.

Czyja w tem wina, że zdarza się u nas tak dużo wypadków przy pracy? Z pewnością i zarządów kopalń, które zbyt lekceważą sobie życie robotników. Zapewne nie małą rolę odgrywa tu i zbyt długi dzień roboczy w kopalniach, który nadmiernie wyczerpuje robotników, a przez to osłabia ich uwagę. Zresztą nie tylko w kopalniach, ale i we wszystkich wogóle fabrykach Zagłębia dzień roboczy trwa blizko dwanaście godzin z niewielkiemi przerwami. Ten długi dzień roboczy wraz ze złymi warunkami zdrowotnymi w fabrykach i mieszkaniach robotniczych przyczynia się znakomicie do tego, że robotnicy często chorują, pomimo, że do roboty przyjmuje się tylko młodych i zdrowych. Podczas choroby robotnicy nie mają zapewnionej należytej pomocy lekarskiej, gdyż lekarzy fabrycznych jest stosunkowo bardzo niewielu, bo tylko 17. Dziwną wydawać się może ta oszczędność panów fabrykantów na szpitale, lekarstwa i lekarzy, zwłaszcza że robotnikom strąca się przy wypłacie pewien procent na kasę bratniej pomocy, z której utrzymuje się lekarzy, daje się zapomogi chorym itp. Do tych kas bratniej pomocy nie mało wpływa grosza z kieszeni robotników. W r 1898 robotnicy samej tylko „Huty Bankowej" wnieśli do kasy pokaźną sumę 33482 rub. 35 kop. Kasy takie istnieją przy wszystkich niemal większych fabrykach. Rządzą w nich niestety fabrykanci i wyżsi urzędnicy naturalnie tak, jak im dogodniej, a nie robotnikom. Robotnicy wprawdzie posyłają swoich delegatów do kas, ale nie mają oni tam wielkiego wpływu. Jak nieracyonalnie są urządzone te kasy, świadczy choćby to, że niema wcale w nich specyalnego funduszu, przeznaczonego na emeryturę dla robotników, co utraciwszy zdrowie podczas pracy, nie mają się z czego utrzymywać i muszą się zadawalniać kilkurublowemi zapomogami miesięcznie z kas bratniej pomocy.

Prócz składek do kas bratniej pomocy robotnicy muszą jeszcze płacić składki na kościół i na szkołę, — tak że wszystkie te składki wynoszą nieraz 4% całego zarobku. Idą one w znacznej części na marne. Widzieliśmy już że funduszami bratnich kas rozporządzają się zarządy fabryk i kopalń. Robotnicy nie tylko że nie mają zapewnionej należytej pomocy lekarskiej, ale nie mają nawet prawa zażądać zmiany lekarza, utrzymywanego za ich pieniądze choćby ten lekarz był nawet bardzo niesumiennym.

---

*) Inż. W. Choroszewski. Przemysł górniczy w Królestwie Polskiem w r 1898. Przegląd techniczny za r 1899. Nr. 14.

**) W. Załęski. Królestwo Polskie pod względem statystycznym. Część I. r.1900.

Niewielką korzyść mają też dzieci robotników ze szkół elementarnych, utrzymywanych ze składek robotniczych, a w części i z funduszów gminnych. W szkołach tych istnieje ogromne przepełnienie. Jako dowód przytoczę szkołę przy Hucie „Katarzyna“, gdzie uczęszcza aż 660 dzieci, Daje się przy tem odczuwać silny brak nauczycieli-pedagogów. Natomiast łódzka dyrekcya naukowa widocznie bardzo dba o to, aby rozwijać ducha rosyjskiego w dzieciach robotniczych, gdyż stara się przysyłać do Zagłębia jaknajwięcej nauczycielek rosyanek i rosyan nauczycieli, a także litwinów, z których niektórzy nie zdradzają bynajmniej sympatyi dla polaków. Dzięki temu wszystkiemu szkolnictwo nie świetnie stoi w Zagłębiu, bo choć tam nie brak i prawdziwych nauczycieli-pedagogów, ale tych jest niewiele i — przy przepełnieniu w szkołach — zbyt dużo mają do roboty, aby się mogli zupełnie sumiennie wywiązywać ze swego zadania.

A więc i pieniądze, składane przez robotników na szkoły, idą po części na marne.

Widzą to wszystko robotnicy, widzą jak fabrykanci i rząd rozporządzają się ich pieniędzmi, czują jak są bardzo wyzyskiwani i poniewierani na każdym kroku. Niezadowolenie wśród nich wciąż wzrasta. Na tym to gruncie rozwinął się szybko ruch robotniczy w Zagłębiu, obejmujący coraz to szersze koła robotnicze, ruch, o którym pomówimy w następnym szkicu.

T. Mogiła.

* * *

Z humorystyki rewolucyjnej.

Zapewne wszyscy nasi czytelnicy znają dobrze ową bajkę, w której żaba chciała koniecznie wydąć się do rozmiarów wołu. Bajkę tę przypomina zachowywanie się naszej „secesyi“, która nie tylko sama postanowiła wydąć się do rozmiarów partyi, ale pragnie wmówić wszystkim, że się to jej doskonale powiodło. Mamy właśnie przed sobą dwa ciekawe dokumenty, stanowiące rezultaty usiłowań w tym kierunku. Pierwszy pochodzi z okresu pacholęcego „secesyi“, gdyż został wydany jeszcze w tym samym maju, w którym zdarzył się ów wiekopomny fakt wystąpienia z naszego Oddziału Zagranicznego 11-u członków płci obojga. Drugi ukazał się już w wieku dojrzałym „partyi“ bo w kilka miesięcy po zjawieniu się pierwszego.

Dokument I — to odezwa w języku rosyjskim, wydana w tajnej drukarni w Warszawie (a jakże!) przez Centralny Komitet Polskiej Partyi Socyalistycznej „Proletaryat“ „do towarzyszy rosyjskich“, datowana w maju. Wprost w podziw nas wprawia niesłychana obrotność tych 11-u ludzi płci obojga, którzy w ciągu paru dni nie tylko ukonstytuowali się w partyę, zdążyli wybrać Komitet Centralny, założyć tajną drukarnię w Warszawie, ale i poczynili kroki w kierunku spełnienia olbrzymich zadań. Bo posłuchajmy tylko: „Proletaryat, stając na czele ruchu robotniczego w Polsce, obiecuje towarzyszom rosyjskim zupełne poparcie moralne i pomoc w sprawach charakteru konspiracyjnego“. Mało tego: „Proletaryat“ postanowił zwołać w najbliższej przyszłości zjazd przedstawicieli wszystkich robotniczych organizacyi Rosyi w celu wspólnego omówienia kwestyi tak programowych, jak i taktycznych“. Jak na „partyę“, istniejącą kilka dni, wcale śmiałe pomysły! Wydając odezwę do towarzyszy-rosyan, „secesya“, snadź przypuszcza, że może wśród nich spotkać i szowinistów, a nie chcąc nikogo urazić, zgóry postanowiła obalić wszystkie ich podejrzenia, czy też nowa „partya“ nie knuje podstępnych zamiarów zagrabienia „Chołmskoj Rusi“ albo jakich innych „iskoni russkich ziemiel“ w rodzaju „Wilny, Grodny lub Biełastoka“. Zapewnia więc, że nie wyrzeka się „ideałów odrodzenia (wozrożdienija) Polski w jej etnograficznych granicach“. Zapowiada przytem, że będzie walczyła o konstytucyę, czego nie robiła P. P. S. „i tu właśnie należy szukać przyczyny sto-

pniowego zmniejszenia się jej (P. P. S.) wpływu na polski ruch rewolucyjny". To ostatnie przekonanie prawdopodobnie powstało w śmiałej fantazyi pp. secesyonistów i secesyonistek pod wrażeniem zorganizowanej przez P. P. S. warszawskiej manifestacyi 29 kwietnia, w której wzięło udział 30.000 ludzi.

Widzimy więc, że żaba z bajki nie tylko sama rozdyma się do rozmiarów wołu, nie tylko wierzy w to, że się jej ta sztuka udała, ale stara się równocześnie wmówić w ludzi, że wół nie jest żadnym wołem, tylko ot tak sobie jakimś marnym królikiem. Jako szczegół charakterystyczny warto zanotować. że o głównym punkcie „programu“ secesyi — terorze — niema ani słówka... Wszak dziś żadna z partyi rosyjskich teroru nie propaguje — pocóż więc kompromitować się?

Spełniwszy swoje najpilniejsze zadanie przez moralne poparcie towarzyszy rosyjskich *), którym właśnie najbardziej tego brakowało, nowa partya namyślała się przez parę miesięcy nad tem, czyby też nie warto było uszczęśliwić i polaków jakimś drukiem. I uszczęśliwiła, wydając odezwę drukowaną czerwonemi literami — rozumie się w „tajnej warszawskiej drukarni“. A odezwa to nielada. O „odrodzeniu etnograficznej Polski“ już nic nie mówi, natomiast otwarcie wykrzykuje: „Precz z caratem! Niech żyje Niepodległa Polska!“ Carat nazywa w szowinistyczny sposób „moskiewskim“ (co za nieostrożność! a nuż „Bund“ się o tem dowie?!) itd. Odezwa polska różni się od rosyjskiej nie tylko kolorem, ale i tonem. Wystarczyło paru miesięcy, ażeby grupka 11 osobników płci obojga uwierzyła na seryo. że stanowi partyę, że zdobyła proletaryat („masy robotnicze są już po naszej stronie“), że nareszcie jest sama proletaryatem („...wespół z nami, proletaryatem robotniczym polskim...“). Nic dziwnego, że takie przekonanie o własnej potędze natchnęło naszych „secesyonistów“ nielada odwagą. Oświadcza więc: „Musimy karać śmiercią żandarmów, naczelników więzień i policyi, gubernatorów i innych siepaczów carskich, znęcających się nad naszymi towarzyszami. Zgóry jesteśmy przygotowani na represye (co za rezygnacya!) ze strony wrogów, ale te nie odstraszą nas od pracy... “ „Rząd carski musi nam ustąpić i zmienić swe postępowanie z nami“. „Rzućmy się w walkę z całą namiętnością, a wtedy w kraju naszym zerwie się huragan rewolucyjny, głowy katów naszych spadną, wróg zadrży i ustąpi... “ co daj, Boże, amen.

Czy nie paradne? Czekamy dalszych utworów poetyckich młodej „partyi“. Towarzysze nasi w zaborze austryackim mają już specyalne pismo humorystyczne „Cięgi“ — my musimy się narazie pocieszać bodaj ukazującemi się raz na parę miesięcy odezwami „secesyi“

* * *

Warszawa, w listopadzie.

Po za ospą i tyfusem, które obecnie grasują w robotniczych dzielnicach naszego miasta i zabierają setki ofiar (szczególniej w okolicach ulicy Wroniej) — rozpanoszyła się ogromnie jeszcze jedna epidemia — szpiedzy.

Ta ostatnia zaraza (o bo szpiedzy to choroba zaraźliwa: udziela się wszystkim znajomym i krewnym) jakkolwiek panuje u nas stale — tym razem przybrała większe niż zwykle rozmiary. Jestto bez wątpienia jedyny skutek utworzenia się

---

*) O „pomocy w sprawach konspiracyjnych“ trudno mówić ze względu na jej „konspiracyjność“, ale przypuszczamy, że nowa „partya“ przewiozła towarzyszom rosyjskim kilkaset pudów wydawnictw i czcionek, dopomogła do ucieczki z więzień i Syberyi kilkunastu towarzyszom itd. Taką potężną „partyę“ stać przecież na to. Nie przesądzamy też doniosłości owego „zjazdu przedstawicieli wszystkich organizacyi robotniczych Rosyi“, który już zapewne szczęśliwie odbył się.

u nas „malutkiego Proletaryatu“. Piszę „malutkiego“ — ażeby odróżnić go od „Proletaryatu Wielkiego“ z dziewiątego dziesięciolecia, którego nazwę przyswoili sobie i profanują dzisiejsi „teroryści bez teroru“. Łokciowe odezwy „Proletaryatu“, których treścią są jedynie czerwone litery, nie wywarły innego skutku, jak tylko... powiększenie się szeregów szpiclowskich. Nawet postrachu nie wywołały one wśród szpicli, bo ci bardziej by się zlękli jednego zamachu niż tysiąca proklamacyi. Charakterystyczne, że niektórzy z „proletaryatczyków“ propagują zamachy jedynie na grube ryby, poczynając od Imeretyńskiego, a wyśmiewają się z bezcelowości usuwania szpiegów, inni zaś krytykują P. P. S. za nietępienie szpicli. Na jednym punkcie panuje u nich zgoda; jak pierwsi nie zabijają Imeretyńskiego, tak drudzy nie zabijają szpiegów — a wszyscy przez puszczanie zmyślonych plotek i kłamstw świadomie szkodzą poważnej robocie, a nieświadomie przyczyniają się do zwiększenia czujności policyi.

O każdej porze dnia i we wszystkich dzielnicach miasta kręcą się postacie, które łatwo odróżnić od zwykłych przechodniów po rysach twarzy, po ubiorze i zachowaniu się. Metoda wykluczania może być bardzo pomocną przy ich poznawaniu. Poniekąd każdy człowiek nosi na sobie piętno swego fachu. Gdy widzimy osobę, której nie można zaliczyć do rzemieślników, robotników, techników, czy handlowców — wówczas stoimy wobec pytania: szpicel czy chórzysta teatralny? To ostatnie pytanie wreszcie rozstrzyga kwestya, czy osoba obserwowana uzbrojona jest w grubą laskę (bez której szpicel wobec swego zajęczego serca nigdy nie wychodzi na ulicę), czy też nie.

Na rogach ulic szpicle mają swoje postoje, stacye, gdzie stale zmieniają jedni drugich i oczekują zapotrzebowania. Wrazie, gdy przejeżdża przez miasto jaki dygnitarz — ulice zapełniają się gromadkami szpicli, którzy odgrywają wówczas rolę kierowników opinii publicznej — robią owacye lub też strzegą porządku.

Najłatwiej poznać, że się jest szpiclowanym, wychodząc z domu na ulicę. Jeżeli nie na pobliskim rogu pod latarnią, to w jednej z bram uliczuych spostrzega się dwóch opiekunów, którzy z zajęciem wczytują się w ogłoszenia mieszkaniowe, przyglądają się wystawom sklepowym (nie wyłączając piekarni i wędliniarni) lub też żywo ze sobą dyskytują (pewno na temat teroru). Niektórzy z nich dla niepoznaki noszą małe pakunki (np. kilka pudełek gilz). Na widok osoby strzeżonej — szpicle z pośpiechem rozchodzą się i zazwyczaj jeden z nich idzie po jednej, drugi po drugiej stronie ulicy. Idąc ulicą, trudno spostrzedz szpicli, chyba, że jednemu z nich przyjdzie do głowy wyprzedzić osobę niebezpieczną. Wówczas zdradza go pośpieszny krok, trwożliwe oglądanie się w tył i t.p. Niema nic łatwiejszego, jak gubić szpicli, ale nieraz trzeba sobie dobrze nadłożyć drogi, wobec czego skarżą się niektórzy nasi towarzysze, iż im obecnie „cały socyalizm wlazł w nogi“.

Polska dobroczynność do współki z rosyjską trzeźwością święcą tryumfy. W nieustającej trosce o dobro ludu dostarczyły mu zarówno strawy duchowej (teatr ludowy) jak i materyalnej (kuchnie ruchome) Jeszcze jedno dobrodziejstwo. Ażeby przeciwdziałać pijaństwu, podniesiono ceny monopolu. „Was willst du noch mehr?“ Dziwi się dziś filister, że nędza pomimo to nie ustaje. Dziwi go „fakt, że całe setki nędzarzy warszawskich z powodu nadchodzących mrozów przeniosły się z parków i lasów do podmiejskich... pieców cegielnianych, skąd ich policya bezustannie i bezskutecznie wypędza“. Jest to ten sam „lumpenproletaryat“, który dostarcza „nożowników“ i „pobytowców“, który naprzemian zajmuje się kradzieżą, zbieraniem gałganów lub wyławianiem korków z kanałów miejskich...

„Prawda, panie, że kuchnie ruchome to wspaniała instytucya? No bo — proszę pana — co takiemu tam robotnikowi potrzeba? Kupi sobie za dychę porcyę zupy (kapuśniaku, barszczu, grochówki, kartoflanki lub krupniku), przekąsi kawałkiem chleba i dosyć. Nawet dobrze, że te kuchnie ruchome nie rozwożą mięsa

ani innych potraw, bo przecież, panie, człowiek wówczas najszczęśliwszy, gdy ma małe potrzeby. A wie pan, jak robotnikowi dostarczyć jadła za głupią dziesiątkę, to o żadnych tam podwyższeniach płacy, strejkach nie będzie myślał“...

Przyglądam się często eleganckim wozom kuchni ruchomych. Na odgłos trąbki zlatują się dziesiątki ludzi i tłoczą się, podając jeden przez drugiego naczynia. Widzę wśród nich wynędzniałe, ziębnięte postacie starców, po większej części tragarzy lub wyrobników, którzy z apetytem i bez szemrania spożywają przyrządzoną zupkę. Dla nich, którzy dziennie zarabiają nie więcej, jak czterdziestówkę — kuchnie te są potrzebne. Widzę wśród tłoczących się ludzi, ktorzy przyszli dla próby — skosztować tej nowości — i odchodzą niezadowoleni... Przyglądam się wreszcie z przyjemnością twarzom robotników, na których maluje się niezadowolenie i ironia. „Nie zatkają nam buzi tą zupką“. „Zmarniał by człowiek do reszty, gdyby tem się żywił“ — słyszeć się dają zewsząd głosy; niektórzy narzekają: „Ot nawarzyli świństwa, nawarzyli!“

Wybrałem się kiedyś do teatru ludowego. Nie myślcie jednakże, towarzysze, że przyczyniłem się tem do powiększenia kasy „narodnoj trezwosti.“ Jako recenzentowi („Przedświtu“ i „Robotnika“) udzielono mi miejsca bezpłatnie... Teatr urządzony jest w ujeżdżalni. W dzień tresuje się tam konie — potem te zostają wypędzone — wpędza się lud i tresuje się go podług urzędowych przepisów. Sztuki grywane odznaczają się imponującą płytkością, a są to: „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje“, „Maciek Samson“, „Trzydzieści lat życia szulera“ i t.p. Trzeba oddać sprawiedliwość trupie tego teatru, że gra stosunkowo dobrze. Zato sama ujeżdżalnia... chciałem powiedzieć sam budynek teatralny pozostawia wiele do życzenia. Warunki akustyczne szczególnie stoją niżej wszelkiej krytyki. Bilety wejścia są tanie: 40, 30, 20, 15, 10, 5 kop. Poczynając od miejsc 20-to kopiejkowych słyszy się bardo niewiele, a za 10 i 5 kop. – literalnie nic. Z wyjątkiem galeryi 5-o kopiejkowej wszystkie krzesła ustawione są na jednym poziomie. Skutek tego — ten, że z dalszych rzędów widzi się tylko kapelusze innych widzów tudzież głowy aktorów. Co chwila ktoś ciekawszy podnosi się nieco, następne rzędy, ażeby cośkolwiek widzieć, stają i rozlega się przeraźliwy krzyk: „siadać, siadać!“, który głuszy doszczętnie głos aktorów. Prócz tego są rozmaite inne nieporządki. Publiczność, nie obeznana z widowiskami, nie baczy na które miejsca siada; służby zaś teatralnej, która by tego pilnowała, jest za mało — wskutek czego do połowy każdego aktu powtarzają się ciągłe kłótnie między publicznością, wzajemne „wylewanie się“ z miejsc i wędrówki po sali. Gdy widz pomimo tego hałasu usłyszy ze sceny jakie słówko, powtarza je natychmiast swym sąsiadom na cały głos — co bez wątpienia ciszy nie przysparza. A pan komisarz z dyżurnym od trzeźwości (po których trudno poznać, że mają coś wspólnego z własną trzeźwością) przechadzają się i uspakajają: „tisze, tisze.“

Kum.

* * *

Ze Żmudzi.

Kretynga (gub. Kowieńska), w listopadzie.

Nasz cichy, spokojny i mało dotychczas światu znany zakątek stał się od niedawna dość głośnym, dzięki aresztowaniom i rewizyom, urządzanym przez żandarmeryę miejscową i przyjezdną.

Aresztowania zaczęły się jeszcze w maju, a początek ich był taki: w ostatnich dniach maja żandarmi złapali około miasteczka Rucawy (Kurlandya) transport książek nielegalnych, idący z Połągi do Libawy. Rozumie się, że transport został zatrzymany razem z furmanami — łotyszami, którzy przy badaniu zeznali,

że byli wynajęci przez mieszczanina z Połągi — Pawłowskiego, a transport wzięli w Kłajpedzie w Prusach, od jakiegoś nieznajomego pana. Na mocy tego zeznania był aresztowany Pawłowski, a w kilka dni potem i lekarz Wajnejkis z Połągi. Lekarza Wajnejkisa policya aresztowała, opierając się jedynie na domysłach (a jak inni dowodzą, z powodu denuncyacyi jednego ze szlachty tamecznej, gdyż miał wśród niej licznych wrogów), bo podczas rewizyi nic u niego nie znaleziono.

Po tych aresztowaniach przez pewien czas było cicho. W lipcu kółko litewskiej młodzieży zamierzyło urządzić przedstawienie litewskie w Połądze i odegrać oryginalną 3-aktową komedyjkę p. t. „Velnias spąstuose“ (Dyabeł w sidłach). I pomimo tego, że miało pozwolenie od gubernatora, jednak miejscowy policmajster Nikitinskij zabronił przedstawienia, tłómacząc swój zakaz tem, że studenci (bo z nich prawie całe kółko się składało) nie mają prawa wynajmować się za aktorów i grać na scenie. Mogą tylko brać udział w przedstawieniach amatorskich. Wtedy całe to kółko pojechało do Libawy, gdyż gubernator i miejscowy policmajster pozwolili im odegrać tę samą komedyjkę; ale skoro tylko zjawili się w Libawie (21 lipca), wszyscy natychmiast zostali aresztowani przez miejscowych żandarmów. Niektórych uwolniono tegoż samego dnia, mianowicie: panią Pacewicz, pannę Janulajtis, studenta C. i studenta S. Pana L. przetrzymali w więzieniu około 2 tygodni, a studentów Janulajtisa i Mongirda trzymają dotychczas i pomimo starań krewnych i rodziny nie uwalnają nawet za poręczeniem.

I znowu na pewien czas ucichło!... Wtem 27 września zjawiła się w naszych stronach chmara żandarmerya, która odrazu zaczęła urządzać rewizye i aresztowania w kilku miejscach. Prokurator i oficer żandarmeryi przetrząsał w Połądze mieszkania notaryusza Kentrasa i mieszczanina Antoniego Łukajtysa; Szulc — oficer żandarmeryi z Garżd (miasteczko w Kowieńskiej gub.) zarządził rewizye w Kretyndze u kupca (katolika) p. Edwarda Empahera i u lekarza Januszisa, krórego aresztował i odesłał do Libawy. Trzecia grupa pod dowództwem oficera z Szawel odbyła rewizyę u p.p. Pawłowskich (teściów lekarza Wajnejkisa) w Sławejciach, potem u aptekarza p. Prekiera w miasteczku Dorbianach, w Kalnelach u jakiejś kobiety, u p.p. Mongirdów — rodziców aresztowanego studenta — w majątku Miszucie, — a ztamtąd pojechała do p. Wojtkiewicza — majątek Mikolinki. — U nikogo przy rewizyi nic nie znaleziono, a lekarz Januszis aresztowany został tylko na mocy rozkazu danego z Libawy.

Z tego wszystkiego warto zanotować parę ciekawych szczegółów, mianowicie: w przeszłym roku pisma litewskie i polskie donosiły o zawarciu umowy pomiędzy żandarmeryą i prokuratoryą pruską a rosyjską co do wspólnego ścigania i wydawania ludzi, którzy będą rozszerzać i przemycać przez granicę litewskie książki i czasopisma do Rosyi. Istnienie umowy tej potwierdza teraz fakt następujący. W czasie rewizyi u p. Wojtkiewicza w Mikolinkach (nb. jest to człowiek spokojny i lojalny), dopytywali się go żandarmi: „po co jeździł w przeszłym roku do Tylży razem ze studentem Mongirdem i lekarzem Wajnekisem?“ I tylko dzięki tej jeździe stał się „niebłagonadiożnym“.

Komedyjka „Velnias spąstuose“ była napisana przez dwie autorki — p. Bitię i Żemajtę. Treść tej komedyjki była wzięta z życia ludu wiejskiego i całkiem niewinna, lecz pomimo to cenzura pozwoliła na odegranie jej wtedy tylko, gdy autorki przyrzekły, że po przedstawieniu nie oddadzą jej do druku, ale zniszczą.

Aresztowania i rewizye w Libawie i Rydze są na porządku dziennym i to przeważnie wśród łotyszów. W Libawie więzienie jest tak przepełnione, że pomimo wywiezienia niektórych więźniów do innych więzień, pakują jeszcze, po 2 — 3 osoby do jednej celki.

Naczelnikiem żandarmów w Libawie jest teraz kapitan Wonsiacki, ten sam, który w 1897 — 98 roku, będąc w Suwałkach, wykrył litewskie patryotyczne stowarzyszenie „Setynas“ (Niedźwiadek) i urządzał majowe aresztowania w tamtejszych stronach. Z jego to przyczyny i tutaj zaczęły się wszystkie te aresztowania i rewizye, a on jest bardzo dumny ze swego dzieła i chwali się, że „oczyści gubernię Kowieńską z socyalistów i litwomanów.“ Ale próżne jego nadzieje gdyż ruch narodowy litewski, pomimo rewizyi i aresztowań i wielu innych przeszkód coraz bardziej potężnieje i rozrasta się, przybierając odcień socyalistyczny. Że to nie przesada, może potwierdzić każdy, kto ma stosunki z uczącą się młodzieżą. Co tylko jest pomiędzy nią lepszego, energiczniejszego, wszystko to sympatyzuje z ruchem ludowym i wiąże się w różne kółka i stowarzyszenia. A gdy mamy młodzież za sobą, to śmiało możemy patrzeć w przyszłość i urągać siepaczom.

Ignotas.

* * *

Białystok, w październiku.

Komunikuję Wam znacznie spóźnioną, co prawda, tem nie mniej jednak ciekawą wiadomość o zaburzeniach chłopskich w majątku hr. Kranzensztajna (rosyanina). Hr. Kranzensztajn jest jednym z największych właścicieli ziemskich w okolicach Białegostoku. Posiada kilka dóbr, ale przebywa w nich bardzo rzadko, mieszkając stale w Petersburgu lub też zagranicą. Zastępuje go tu zarządzający, który ma nieograniczoną władzę nad całym majątkiem.

Chłopi ze wsi okolicznych dzierżawią od zarządzającego hr. Kranzensztajna pastwisko, ponieważ nie posiadają własnego. Otóż w czerwcu r. b. hrabia zażądał naraz znacznej kwoty pieniędzy, wobec czego zarządzający zabrał się do wycinania lasu na sprzedaż — i to właśnie tego lasu, w którym chłopi dotychczas paśli — za własne pieniądze — bydło, chłopom zaś wskazał miejsce na pastwisko... o trzy mile dalej. Ma się rozumieć, że chłopi nie myśleli wyrzekać się swych praw do dawnego pastwiska i wciąż pędzali tam swe bydło. Zarządzający wysyła tedy swoich parobków, którym nakazuje zająć chłopskie bydło, co naturalnie wywarło straszne oburzenie wśród chłopów. Zgromadzili się więc nazajutrz (16 czerwca), opadli stodoły, w których zamknięto im bydło, wydostali je stamtąd, a mszcząc się za bezprawie, zburzyli lub podpalili piętnaście śpichlerzy. Nie poprzestając na tem, udali się gromadnie w kierunku domu zarządzającego, grożąc mu zemstą. Zarządzający nie czekał ich przybycia i czemprędzej popędził do gminy, wysyłając przeciwko chłopom swych parobków.

Z gminy dano znać telefonem o całem zajściu władzom wojskowym. Ponieważ zaś wojsko było w pobliżu — w obozie letnim — przeto bardzo prędko zjawiło się w szyku bojowym. Zaczęła się bitwa formalna. Żołdacy tłukli lud kolbami, chłopi bronili się kołami itd. Nadjechali kozacy, dał się słyszeć świst nahajek, dzikie wrzaski. Rozległy się głosy:

— Dalej, bracia, wont moskale przeklęte!

Poaresztowano mnóstwo chłopów. Część ich wypuszczono zaraz lub po kilku dniach, reszta siedzi w więzieniu dotychczas, a ich żony i dzieci umierają z głodu.

R.

* * *

Strejk u Poznańskiego w Łodzi.

25-go października wybuchł strejk, który objął całą fabrykę Poznańskiego z wyjątkiem farbiarni, giserni i ślusarni. Powodem strejku było zmniejszenie $11^1/_2$ godzinnego dnia roboczego do 8-iu godzin z jednoczesnem obniżeniem zarobków o 28 kop. na rublu. Natychmiast po wybuchu strejku zjawili się żan-

darmi, kozacy, policya i całe to tałałajstwo poczęło rozpędzać tłumy robotników. 30-go wywiązała się bójka pomiędzy robotnikami a tłuszczą policyjno-kozacką, przyczem aresztowano kilkadziesiąt osób. Robotnicy codziennie przychodzili do fabryki, ale nie puszczali w ruch warsztatów. Zwłaszcza dzielnie spisywały się kobiety. Cała Łódź była wzburzona i z gorączkowem natężeniem oczekiwała wyników strejku. Żandarmerya i policya codziennie odbywała posiedzenia razem z fabrykantami, którzy obawiali się, ażeby robotnicy z innych fabryk nie poszli za robotnikami u Poznańskiego. Ksiądz Szmidel podjął się pośredniczenia pomiędzy władzami rządowemi i kapitałem z jednej strony, a robotnikami z drugiej — rozumie się w interesie pierwszych. Na nic się to jednak nie zdało, bo robotnicy wytrwali do końca i po tygodniu strejk zakończył się częściowem zwycięstwem. Stanęło na tem, by pracować pięć dni w tygodniu po $11^1/_2$ godzin (razem $57^1/_2$ godz. tygodniowo), a nie 6 dni po 8 godz. (wyniosłoby to 48 godz.). Strejk u o znańs kiego dobrze oddziałał i na innych fabrykantów. Tak np. u Geyera miano zmniejszyć płacę o 10 kop. od sztuki, ale zarząd fabryki cofnął swe postanowienie.

* * *

Ruch więzienny we wrześniu.

Wzięci do X pawilonu : Wacław Łempicki, Edward Świątkowski, Stefan Piekarz, Franciszek Burski.

Przeniesieni z Pawiaka do Cytadeli : Feliks Biernacki, Maryan Witkowski, Maryan Zacharski, Antoni Copa, Edward Skinkiewicz.

Przeniesieni z Cytadeli na Pawiak : Auerbach, Blumowicz, dwaj Bermanowie, Liba Bruzel.

Wypuszczeni : Muromow, Altglass, Degenfisz, Perlmutter, Kornblit, Rubinstein, Popielarski, Zabłocki, dyr. fabryki Rudzkiego Łatkiewicz.

* * *

Nowy Nr. „Robotnika".

Dn. 15-go listopada wyszedł Nr. 38 „Robotnika". Artykuł wstępny mówi o sądach wojennych. Po nim idzie śliczny „Urywek" — poezya poświęcona bohaterom walki o dobro ludu. Następny artykuł podaje i komentuje uchwały V-go zjazdu P. P. S. Życiorys Liebknechta poprzedza korespondencye : z Białegostoku, Łodzi, pałacu carskiego w Białowieży, Dąbrowy Górniczej, Pabianic, Widzew a, Żyrardowa, Ozorkowa, Starachowic, Krynek i różnych fachów oraz fabryk Warszawy. Obfita kronika krajowa, ostrzeżenia i pokwitowania zamykają numer.

* * *

Odezwy białostockie.

Białostocki Komitet Robotniczy P. P. S. wydał świeżo odezwy — dwie żargonowe, a jedną polską. Ta ostatnia zwraca się do ogółu robotników i robotnic tkackich. Z pierwszych jedna jest przeznaczona dla tkaczy, druga dla robotnic szpularek.

* * *

Car wśród swoich poddanych.

„Robotnik" w korespondencyi z pałacu carskiego z Białowieży pisze : „Mikołajek widocznie nie ma czystego sumienia, bo drży o swoją skórę i czuje się bezpiecznym tylko w otoczeniu tysięcy ludzi. Pałac otoczony był aż czterema kordonami : pierwszy stanowili czerkiesi, drugi żandarmi i policya, sprowadzona specyalnie z Petersburga i Moskwy, trzeci kordon stanowili szpicle, którzy poprze-

bierani za chłopów, żebraków i licho wie jak jeszcze, włóczyli się po okolicznych wsiach, lasach i karczmach, wszędzie podglądali i podsłuchiwali. Wreszcie czwarty kordon stanowili żołnierze. Ogółem do strzeżenia szacownej osoby cara użyto 9000 ludzi. Ale mimo to wszystko car nie czuje się zupełnie bezpiecznym i bardzo często zdradza się ze swym strachem; raz np. przed wyjazdem na polowanie w ostatniej chwili zmienił kierunek i zamiast krótszej wybrał dłuższą drogę."

* * *

Imeretyński.

Śmierć niespodzianie zaskoczyła satrapę carskiego, który jeszcze tak niedawno sam groził śmiercią towarzyszom naszym. Zniknął z widowni politycznej naszego kraju, unosząc ze sobą nienawiść i przekleństwa ludu polskiego. . .

A jednak znaleźli się i wśród polaków ludzie, którzy go „żegnają ze szczerym smutkiem" — jak pisze „Słowo" warszawskie. Znaleźli się polacy, którym żal mordercy robotników z „Huty Bankowej", zwycięzcy z pod „Sans-Souci", tratującego kozactwem ludność Warszawy, sprawcy wyroków śmierci na członków P. P. S. Znaleźli się polacy, którzy opłakują twórcę całego szeregu środków, zmierzających do znieprawienia i zdemoralizowania ludu polskiego — wszystkich tych kuratoryów trzeźwości, czytelń polsko-rosyjskich, herbaciarni rusyfikacyjnych, obchodów puszkinowskich, carosławnej „Oświaty". Znaleźli się polacy, którzy czczą prześladowcę unitów, inicyatora licznych cerkwi prawosławnych wśród ludności polskiej, człowieka, który pousuwał resztki języka polskiego z instytucyi prywatnych.

Czyż nie jest to w najwyższym stopniu charakterystyczne dla tych szumowin narodu polskiego, dla tych nowych targowiczan, którzy gotowi są wszystko sprzedać dla korzyści materyalnych. Cóż ich obchodzą łzy i krew ludu, cierpienia całego narodu, któremu odbiera się jego skarby najdroższe? Wszystkiego zapomną carskiemu satrapie, byleby tylko dano im możność kieszenie zapełniać i trzymać w ryzach robotników. Dlatego też to samo „Słowo", a za niem „Czas" i „Dziennik Poznański" skwapliwie biją pokłony przed trumną Imeretyńskiego — za towarzystwa rolnicze, za kolej kaliską, za silny rozwój ekonomiczny, zapominając, że to nie żadna zasługa rządu, tylko wypełnienie koniecznych warunków dla zwiększenia podatkowej siły kraju. Dla korzyści materyalnych ugodowcy zapominają nie tylko o zwykłej godności narodowej, ale i o własnej kompromitacyi, jaką im zgotował Imeretyński „niemym" odsłonięciem pomnika Mickiewicza, o tej pogardzie, z jaką potraktował ich w „Memoryale".

Dziś jeszcze niewiadomo, kto będzie następcą Imeretyńskiego — i nas to w gruncie rzeczy mało obchodzi. Wiemy bowiem, że jenerał-gubernator warszawski jest tylko narzędziem w ręku caratu — narzędziem, za pomocą którego ma się u nas zdusić wszystko, co tchnie jakimś duchem wolnościowym, a w końcu przekształcić nas na moskali. Dlatego nie mamy powodów do marzeń o zmianach, któreby mogły nastąpić za sprawą nowego wielkorządcy. Rozumiemy, że dopóki będzie istniał despotyzm carski, dopóki rząd carski będzie gospodarował w naszym kraju, nie może być mowy o zmianie polityki rządu względem polaków. Czy będziemy uciskani i rusyfikowani w brutalny, czy też w bardziej łagodny, a chytry sposób, dla nas jest to ostatecznie wszystko jedno, bo żadna polityka caratu nas nie złudzi.

Musimy jednak być przygotowani na to, że pod nowym wielkorządcą nasi targowiczanie i wierzący im głupcy zechcą wznowić orgię ugodową, zapragną znowu składać dowody swej naiwności i znieprawiać masy. Miejmy się więc na baczności i zwalczajmy te próby w zarodku.

Zatargi socyalistów z wojskowością.

Przemyśl, w listopadzie 1900.

Przeszło od dwóch lat była Galicya świadkiem niezwykłej dotąd w Austryi walki między socyalistami a załogującem wojskiem w jednej z największych twierdz austryackich, w Przemyślu. Na czele załogi przemyskiej stoi znany z wojny bośniackiej komendant korpusu, zbrojmistrz Antoni Galgotzy, człowiek niesłychanie brutalny, dla którego szabla i bagnet żołdacki są nietykalnemi świętościami. Żołnierz w pojęciu Galgotzego, to martwa istota, bez żadnych praw, która nie powinna mieć żadnych uczuć z wyjątkiem uczucia ślepej i bezwzględnej uległości swoim przełożonym. Żołnierza-obywatela wolno zdaniem Galgotzego policzkować bezkarnie, poniewierać, deptać jego honor obywatelski i cześć narodową, ba nawet pokaleczyć i uśmiercić, a on powinien milczeć — w przeciwnym bowiem razie dopuszcza się zbrodni rokoszu i zdrady tajemnic służbowych. Tak samo prasa, jako odgłos opinii publicznej, nie powinna zdaniem tego brutalnego generała zajmować się sprawami wojskowemi. „Armia to świętość, której nie śmie profanować prasa swoją krytyką". — to jest sakramentalne przykazanie Galgotzego. Że w armii służą nie kupni niewolnicy lub zaciężni najmici z czasów średniowiecznych' ale wolni obywatele, dla których służba wojskowa jest tylko spłatą podatku krwi, o tem nie chciał nic wiedzieć Galgotzy ani jemu podobni. Wiedział Galgotzy, że jego zapatrywania podzielają i najwyżej postawione w Austryi osoby i dlatego śmiało mógł wołać w gronie oficerów: „Ja bym kazał tę hołotę tysiącami wieszać!" Była to aluzya do dziennikarzy galicyjskich, odkrywających od czasu do czasu niedyskretnie tajemnice murów koszarowych. A tajemnice te były straszne, mąciły krew w żyłach, wywoływały okrzyki zgrozy na usta, były jednem krwawem pasmem tortur, na jakie narażeni są synowie obywateli ze strony oficerów i wszelkiego rodzaju przełożonych.

Za niedyskrecyę swą ciężko musieli odpokutować niezawiśli dziennikarze. W samym Przemyślu odbyło się z górą 50 procesów przeciw towarzyszom naszym Witoldowi Regerowi i Tadeuszowi Kolkiewiczowi, którzy w „Głosie Przemyskim" umieszczali skargi żołnierzy. Wszystkie te procesy skończyły się uwolnieniem oskarżonych. Sędziowie przysięgli dali tem dowód, że godzą się zupełnie z poglądami naszych towarzyszy, którzy domagali się mniej ślepych i barbarzyńskich paragrafów, krępujących żołnierzy, a więcej serca i ciepła, więcej ludzkości w traktowaniu obywateli, spłacających podatek krwi. Wyroki sądów przysięgłych doprowadziły Galgotzego do wściekłości. Jeździł kilkakrotnie do Wiednia i tam u progów ministerstwa wojny a nawet kancelaryi cesarskiej domagał się dla Przemyśla stanu wyjątkowego i sądów doraźnych z pominięciem juryzdykcyi obywatelskiej. Odgłosem żądań Galgotzego były słowa cesarza, wypowiedziane do posła młodoczeskiego br. Pacaka z powodu afery przy zgłaszaniach kontrolnych w Czechach w języku czeskim, a nie niemieckim, które dosłownie brzmiały: „Na wszystko pozwolić mogę, ale nie zniosę, gdy kto dotknie moją ukochaną armię. Jestem gotów wtenczas zaprowadzić sądy doraźne i nikogo nie ułaskawić!" Słowa te dały pochop do gwałtownych prześladowań naszych towarzyszy w Przemyślu. Sprowadzono do Przemyśla znanego z oszustw w Samborze prokuratora Stebelskiego, a ten na własną rękę zawiesił prawo konstytucyjne, odnoszące się do wolności prasy, nałożył na „Głos Przemyski" prewencyjną cenzurę, za treść artykułów pociągał do odpowiedzialności nie tylko autora i odpowiedzialnego redaktora, ale także właściciela drukarni, — tego ostatniego na to, aby go zmusić do zaprzestania druku „Głosu Przemyskiego". Najdrobniejsze i najspokojniej napisane notatki o wojskowości konfiskowano i wytaczano za nie oskarżenia o zbrodnię namawiania do buntu i rokoszu. Kiedy

i te wszystkie prześladowania nie były w stanie zmusić towarzyszy naszych do milczenia, starosta Lanikiewicz wydał tajny okólnik do drukarzy przemyskich zabraniający drukowania „Głosu Przemyskiego“ pod grozą utraty koncesyi. Przy tych prześladowaniach wyszła na jaw niezwykle ciekawa rzecz. Mianowicie przemyska komenda korpuśna polecała zawsze kierownikowi sądu wojskowego w Przemyślu, majorowi Pawluchowi, zaciętemu moskalofilowi, aby tłómaczył artykuły i notatki, traktujące o sprawach wojskowych, i przesyłał je doministerstwa wojny. Pawluch — wróg zacięty polaków — przedstawił działalność „Głosu Przemyskiego“ i uwalniające wyroki sądów przysięgłych jako wielkopolską agitacyę, wrogo usposobioną do armii austryackiej dlatego, że jest ona armią o urzędowym języku niemieckim. Towarzysze nasi, dowiedziawszy się o tem, wydali list otwarty w języku polskim i niemieckim, który wykazywał łajdacki sposób przedstawienia sprawy przez Pawlucha. Odezwa ta została skonfiskowana, ale zrobiła swoje. Pawlucha przeniesiono z Przemyśla do ministerstwa wojny, ale już nie jako „niezależnego“ sędziego.

Upadek „Głosu Przemyskiego“ ośmielił oficerów. Nie byli oni zadowoleni wytoczeniem szeregu procesów naszym towarzyszom, postanowili sami poszukać sobie satysfakcyi.

Pułki 9, 10 i 58 piechoty wyzwały tow. dr. Hermana Libermana na pojedynek, posądzając go o autorstwo wszystkich artykułów. Wyzwania dr. Liberman nie przyjął, w odpowiedzi oświadczając oficerom, że jako socyalny demokrata nie przyjmuje wyzwania, przytem nie jest redaktorem „Głosu Przemyskiego“, ani nie był też autorem artykułów, omawiających sprawy wojskowe. Odpowiedź ta nie zadowolniła oficerów. Kilku gołowąsych poruczników z 58 p. p. wpadło do mieszkania dr. Libermana w czasie jego nieobecności i ostatniemi słowy zbezcześciło żonę jego. Następnie starali się czynnie znieważyć samego dr. Libermana, w czem jednak przeszkodzili im robotnicy. Po napadach tych tow. Witold Reger zamieścił w wielu gazetach oświadczenie, że to on jest autorem wszystkich artykułów i że przyjmuje za nie odpowiedzialność na siebie. Oficerowie 9 i 10 pułku piechoty zadowolnili się wniesieniem skargi sądowej na tow. Witolda Regera i złożonem przez niego oświadczeniem w gazetach, wyjaśniającem tendencyę artykułów. Natomiast oficerowie 58 pułku piechoty chcieli przed światem popisać się swoją „walecznością“ i w liczbie czterech, uzbrojeni w ostre szable, napadli na tow. Regera. Robotnicy, dowiedziawszy się o tem, zeszli się w wielkiej liczbie i dali oficerom taką odprawę, że zdawało się, iż żaden z oficerów nie odważy się więcej szukać sobie doraźnej na socyalistach satysfakcyi. Tow. Witołd Reger, przewidując skutki tych napadów ze strony oficerów, udał się do starosty Lanikiewicza, robiąc go osobiście odpowiedzialnym za następstwa, jakie za sobą awantury oficerów mogą pociągnąć.

Od tego czasu dwa miesiące był spokój. Dopiero w niedzielę 4 listopada jeden z oficerów 58 p. p. napadł o godz. 12 w południe tow. dr. Libermana na rynku i uderzył go w twarz. To rozdmuchało ogień nienawiści do ostatecznych granic. Robotnicy postanowili pomścić zniewagę, wyrządzoną swemu towarzyszowi. W tę samą niedzielę odbywał się wieczorem koncert muzyki wojskowej. 58 p. p. Robotnicy, spacerując po mieście, spotykali wielu oficerów z tego pułku. Między robotnikami a oficerami doszło do wymiany słów, a następnie do bójki W bójce tej na szable i laski padły także strzały rewolwerowe. Jeden oficer został zraniony, inni pobici i wypoliczkowani.

Na drugi dzień po tej awanturze skonsygnowano cały garnizon przemyski, t. j. 11.000 żołnierzy, oficerów uzbrojono w rewołwery, a po całem mieście porozstawiano policyjne i wojskowe patrole. Policya przyaresztowała 10 naszych towarzyszy, a osławiony prokurator Stebelski chciał wytoczyć aresztowanym oskar-

żenie o zbrodnię usiłowanego morderstwa. O przebiegu rozprawy, która wiele dla armii nieprzyjemnych szczegółów wyjaśni, doniesiemy w swoim czasie.

Towarzysze przemyscy postąpili w tym wypadku zupełnie słusznie. Lada oficer, ufny w kawałek szabli przy boku, uważa każdego *nie* oficera, tem bardziej socyalistę, za coś gorszego od siebie, a pewny bezkarności, ośmiela się nawet ludzi otoczonych ogólną czcią i szacunkiem znieważać publicznie.

Na przyszłość będą oficerowie ostrożniejsi i choć kilku z naszych towarzyszy padło ofiarą, to ofiara ta nie pójdzie na marne.

Żądło.

* * *

Prawybory w okręgu cieszyńskim.

Na razie jeszcze nie można zestawić dokładnego wyniku prawyborów, w każdym jednak razie już dziś widoczne, że kandydat socyalistyczny otrzyma znacznie więcej głosów, aniżeli w 1897 r. Przyrost głosów socyalistycznych obliczają na 20 do 30. Dotychczas utraciliśmy ze zdobytych w 1867 r. *tylko* pięć głosów w Karwinej. Karwina wybiera 15 wyborców. W 1897r. głosowanie odbywało się dla całej gminy razem. Tym razem podzielono prawyborców na trzy sekcye, z których każda wybierała po pięć wyborców; przytem zastosowano geometryę wyborczą tak zręcznie, że w pierwszej sekcyi wybierają sam prawie tylko urzędnicy kopalniani: arcyksiążęcy i laryszowscy urzędnicy i służba dworska Larysza, urzędnicy kolejowi, jezuici i zamożni kupcy lub właściciele realności. W ten sposób stało się, że lista kandydatów socyalistycznych uzyskała w pierwszej sekcyi o 78 głosów mniej, aniżeli nasi przeciwnicy.

W drugiej sekcyi natomiast zwyciężyliśmy większością 109 głosów, a w trzeciej większością 228 głosów. Widzimy więc, że *większość socyalistyczna wynosi w Karwinej 259 głosów* i że zatem przeciwnicy nasi nie wielką mają pociechę ze swego zwycięstwa.

W Polskiej Ostrawie zostało wybranych 26 socyalistycznych wyborców. Prawdopodobnie tow. Cinger będzie wybrany już w pierwszem głosowaniu, a nie w ściślejszem, jak to było w r. 1897.

* * *

Dodatkowe Kandydatury.

Oprócz znanych naszym czytelnikom kandydatur partya nasza uchwaliła jeszcze dwie następujące — w okręgu Cieszyńskim IV kuryi — rolnika tow. Jana Stańka, a w okręgu Stanisławów — Rohatyn — Podhajce — Buczacz — Tłumacz V kuryi tow. Maksymiliana Seinfelda.

Bibliografia

H. Radziszewski. *Zarys przemysłu w Królestwie Polskiem.* (W naszych sprawach II). Warszawa 1900, str. 306 8-ki.

St. Koszutski. *Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem.* Warszawa 1901, str. 211 8-ki.

Minęły już te czasy, kiedy naszym przeciwnikom ruchu robotniczego trzeba było wykładać obszernie, ze statystycznym materyałem dowodowym w ręku, że i u nas istnieje „kwestya socyalna“. Dziś tysiące kominów fabrycznych, jaskrawe łuny hut, strejki olbrzymie, a od czasu do czasu świst nahajek kozackich i kule żołdactwa moskiewskiego udawadniają zbyt oczywiście, że i u nas kwestya

socyalna natrętnie dopomina się rozwiązania, że i nasz kraj popadł w szalony wir kapitalizmu współczesnego. Dotychczas jednak brakowało nam źródeł, na podstawie których szerszy ogół mógłby się zapoznać tak z historycznym rozwojem naszego przemysłu, jak i z dzisiejszym jego stanem. Posługiwano się głównie stronniczo pisaną pracą Janżuła, albo wiadomościami, rozproszonemi po pismach. W r. 1898 ukazała się, co prawda, rozprawka doktoryzacyjna panny Luksemburg, oparta głównie na pracy Janżuła, ale ta stanowi raczej tendencyjne naciąganie nierzadko sfałszowanych faktów dla udowodnienia zgóry powziętych przesłanek polityczno-partyjnych, aniżeli sumienną pracę naukową. Całkiem inny charakter natomiast posiadają dwie monografie, które wyszły prawie jednocześnie, a których zagłówki wypisaliśmy wyżej. Jakkolwiek ani jedna, ani druga nie dają żadnych nowych poglądów, ani nie wyczerpują całkowicie i ostatecznie przedmiotu, to jednak stanowią poważne próby usystematyzowania istniejącego materyału cyfrowego, dotyczącego naszego przemysłu Że się te próby nie powiodły tak, jakby sobie w interesie nauki życzyć wypadało, to w znacznej mierze nie jest winą autorów. Rządowa statystyka rosyjska, dotycząca przemysłu naszego, jest tak niezasługująca na zaufanie i pełna braków, że trudno na jej podstawie zbudować coś doskonałego. Należy jednak zaznaczyć, że p. Koszutski poradził sobie daleko praktyczniej w tem położeniu, aniżeli p. Radziszewski. Wówczas, kiedy ten ostatni opierał się głównie na danych ze sprawozdań urzędów gubernialnych, p. Koszutski jak mógł dopełniał je z innych źródeł i korygował krytycznie dane urzędowe, wskutek czego jego obraz naszego przemysłu jest bardziej dokładny i zbliżony do prawdy. Zresztą obiedwie prace dopełniają się wzajemnie. U p. Radziszewskiego bardzo obszernie została opracowana część historyczna (str. 275—290), zajmująca u p. Koszutskiego zaledwie kilkanaście stron. P. Radziszewski korzystał przy opracowywaniu działu historycznego nie tylko ze źródeł drukowanych, ale przedsiębrał też specyalne poszukiwania archiwalne i wydobył dużo nieznanych dotychczas szczegółów. Pomijając dział historyczny, książkę p. Koszutskiego musimy uznać za pracę, posiadającą większą wartość od monografii p. R., który traktował rzecz jako dyletant — sumienny, co prawda, ale przesiąknięty drobnomieszczańskimi poglądami na kapitalizm i jego konsekwencye. Natomiast p. Koszutski nie tylko zna swój przedmiot i umie go krytycznie opracować, ale zajmuje stanowisko, odpowiadające wynikom dzisiejszej nauki. Z tego względu bardziej byśmy polecali naszym czytelnikom książkę p. Koszutskiego, aniżeli monografię p. R. U p. Koszutskiego można znaleźć i odparcie jednego z najnaiwniejszych zarzutów, wysuwanych przeciw naszemu programowi politycznemu — dotyczącego owych sławnych „rynków rosyjskich".

O

* * *

R. Stefanowicz „Samostijna Ukraina" (Odbitka z „Diła") Lwów, 1900. **„Samostijna Ukraina"** Mowa. Wydanie R. U. P. Nr 1 Lwów 1900.

Hasło niepodległości Ukrainy, podnoszone w ostatnich czasach przez demokratów i socyalistów małoruskich tak w Galicyi, jak i na Ukrainie, jest hasłem zupełnie nowem i, chyba nie pomylimy się, twierdząc, że zawdzięcza ono swe powstanie wpływom polskim — socyalistycznym w pierwszej linii. Obecnie daje się zauważyć oryginalne zjawisko — usiłowanie zwolenników niepodległości Ukrainy nawiązania nowego hasła do tradycyi historycznych narodu małoruskiego, wykrycia związku genetycznego pomiędzy usiłowaniami najwybitniejszych osobistości Małej Rusi, a nowem hasłem. Obiedwie wymienione powyżej broszurki przejęte są tą dążnością. P. Stefanowicz (galicyanin), odpowiadając na pokpiwania „Bukowyny" czerniowieckiej z niepodległościowego programu „Młodej Ukrainy", stara się udowodnić, że myśl o niepodległości Ukrainy świtała już w gło-

wie Chmielnickiego, czego by jeszcze z pewnemi zastrzeżeniami można było dowieść, i u członków „Bractwa cyrylo-metodyjskiego" (1845 — 1847), co jest zupełnym fałszem historycznym, gdyż „Bractwo" to nie szło dalej po za federacyę słowian z carem na czele. Autor przemowy „Samodzielna Ukraina" (ukrainiec) stara się uzasadnić coś w rodzaju „prawa państwowego" Ukrainy, opierając się na umowie perejasławskiej (1654 r.), określającej stosunek Małej Rusi do Moskwy. Za cel najbliższy po drodze do „jednej, niepodzielnej, wolnej, samodzielnej Ukrainy od Karpatów aż po Kaukaz" autor stawia wznowienie „konstytucyi" 1654 r. z rozpowszechnieniem jej na całe małoruskie terytoryum Rosyi. Autor przemowy jest usposobiony nieprzejednanie względem Rosyi i sądzi, że tylko walka orężna pozwoli Ukrainie odzyskać jej prawa, czem się bardzo różni od p. Stefanowicza, który wciąż jeszcze za Drahomanowem wierzy w ewolucyę Rosyi w kierunku konstytucyjnym, opierając swą wiarę na... reformach Aleksandra II. Obiedwie broszurki są napisane z młodzieńczą wiarą we własne siły, pełne optymizmu i zwrotów retorycznych. Posiadają bardzo małą wartość publicystyczną, a jeśli mówimy o nich, to tylko dla tego, ażeby módz skonstatować, że sympatyczna dla nas idea niepodległości Ukrainy bądź co bądź zyskuje w ostatnich czasach popularność po obu stronach kordonu i to nie tylko wśród socyalistów.

O.

* * *

„**Sozialdemokrats**" Nr. 1 Londyn 1900. Jestto pierwszy zeszyt nowego organu naszych towarzyszy łotewskich, mianowicie tej ich części, która, ogłaszając „Łotewską socyalnodemokratyczną bibliotekę" i wspomagając ruch krajowy, poważnie przyczynia się do rozwoju sprawy socyalizmu wśród naszych sąsiadów, przez toż samo jarzmo caratu uciskanych. Na bogatą treść Nr. 1-go składają się następujące rzeczy: od wydawców; pieśń robotnicza; międzynarodowy kongres w Paryżu; rozbójnicza polityka Rosyi w Azyi Wschodniej; jak chłopi węgierscy walczą o swe prawa; belgijska partya robotnicza; z ustawodawstwa fabrycznego w Rosyi; socyalizm w Finlandyi; Polska Partya Socyalistyczna; zjednoczona partya robotnicza w Anglii; socyalizm w Szwecyi; korespondencye (wiadomości z różnych fabryk Rygi, z Libawy, o sądach wojennych w Warszawie, o manifestacyjnych pogrzebach w Polsce, aresztowania, ostrzeżenia) i spis wydanych przez tę organizacyę broszur. Życzymy jaknajwiększego powodzenia nowemu sprzymierzeńcowi w walce ze wspólnym wrogiem.

LUZNE NOTATKI

Nasza malutka notatka (w Nr. 8) o języku rosyjskim, rozpowszechnianym przez syonistów i bundowców, wywołała niezmiernie żałośny lament w Nr. 10 zagranicznego organu „Bundu". Wogóle musimy zauważyć, że wszystko, co się pod firmą naszą drukuje o „Bundzie", jest niezmiernie skwapliwie czytywane i komentowane przez bundowców. Aż nam żal nieraz biedaków, kiedy na malutką wzmiankę odpowiadają sążnistymi artykułami, a na artykuły — broszurkami (do tego jeszcze w dwóch językach). Coby to było, gdybyśmy tak wydali broszurę o „Bundzie"?...Chybabyśmy otrzymali w odpowiedzi tom in folio o 365 stronach druku.

* * *

Redakcya „Idyszer Arbajter" czytuje bardzo pilnie wszystkie polskie wydawnictwa (co jej się bardzo chwali zresztą). Pilność ta została wynagrodzona

tem, że w końcu znalazły się i wsród polaków żywioły sympatyczniejsze dla „Bundu“ od P.P.S. Z jednej strony — „Kraj“ petersburski, a z drugiej . . . nasza „secesya“. O tej ostatniej „Idyszer Arbajter“ pisze wprawdzie, że „w wielu, wielu kwestyach“ z nią się nie godzi, ale „cieszy się“, że nareszcie wśród polskich socyalistów znalazły się takie brylanty. Powiedzielibyśmy „znalazł swój swego“, ale nie chcemy tak już krzywdzić „Bundu“ . . .

* * *

Bundowcy cieszą się, że nareszcie znaleźli się wśród polskich socyalistów tacy, którzy chcą walczyć o konstytucyę rosyjską (piszą tak o „secesyi“). Tymczasem nie kto inny, jak ciż sami bundowcy głoszą gdzie się da, że w Polsce „istnieje“ i nie przestawała istnieć S. D. K. P. Gdyby to było prawdą, „Bund“ nie potrzebowałby się chyba cieszyć z pojawienia się „nareszcie“ secesyi, bo b. S. D. K. P. zawsze pragnęła tylko konstytucyi rosyjskiej. Tak to kłamstwo w końcu mści się na swoich autorach.

* * *

W sprawozdaniach z działalności „Bundu“ wymienione są jakieś jego polskie wydawnictwa. Ciekawa rzecz, czy nie są to przypadkiem owe odezwy, wydawane od czasu do czasu pod firmą nieistniejącej S. D. K. P. W ten sposób nareszcie zostałoby wytłómaczone zagadkowe istnienie „partyi“ S. D.

Jubileusz Bolesława Limanowskiego.

Komitet Jubileuszowy

podaje do wiadomości publicznej, że zgodnie z pierwszą odezwą, wydrukowaną w lutym r. b. na listach składkowych, w początkach roku przyszłego wydana zostanie książka pamiątkowa dla uczczenia 40-letniego jubileuszu Bolesława Limanowskiego. Treścią tej książki będą: przedewszystkiem — specyalnie napisana przez Bolesława Limanowskiego jego *autobiografia ideowa*, przedstawiająca tak pouczającą historyę rozwoju jego przekonań w związku ze zmianami położenia naszego kraju; dalej — faktyczny życiorys Jubilata, możliwie najkompletniejsza bibliografia jego pism; wreszcie — przedruki najważniejszych jego utworów ulotnych społeczno-politycznych, które dziś stały się niemal unikatami, jak: „O kwestyi robotniczej“ (z r. 1871), „Socyalizm i patryotyzm“, „Rewolucya polityczna i społeczna“ itp.

Sądzimy, że takie wydawnictwo, przeznaczone dla myślących mas ludowych, dla których Czcigodny Jubilat całe życie pracował, będzie bardzo na czasie i zupełnie odpowie celowi. —

Odwołując się więc raz jeszcze do poparcia wszystkich socyalistycznych i szczerze demokratycznych żywiołów, zawiadamiamy, że *zbieranie składek zamykamy d. 1 stycznia 1901 r.*, i prosimy o nadsyłanie przed tą datą pieniędzy zebranych i zwrot wszystkich list składkowych *pod adresem niżej podpisanego skarbnika Komitetu.*

W imieniu Komitetu:

Dr. Henryk Gierszyński. Ouarville (Eure-et-Loir)

Dr. Józef Zieliński, skarbnik. 30 place de la Nation, Paris.

Paryż d. 25 listopada 1900r.

Pokwitowania

KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 9 listopada do 5 grudnia r. b.

Na fundusz partyjny: Opłaty członkowskie: Londyn Oddział — 11 sh. 7 p.; B. C. Rolski — 5 m.; H. C. Kij. — 6 zł. 25 c.; Paryż „Wolność" — 59 fr.; Fryb.: J. M. M. — 6 fr.; K. Przyb. — 3 fr.; W Brózda — 2 fr.; A. B. z Pur. — 2 sh.; Li. — 20 m.; New-York Związek Pomocy — 5 dol. Składki nadzwyczajne: A. W. pieniądze zainkasowane od dłużnika — 110 złr.; Fryb. J. M. M. — 1 fr 30 cent.; Paryż W. B. B. — 1 fr.; A. B. z Pur. — 2 sh.; L. a cto l. na f. ag. Nr. 8 — 27 m. 40 fen.; New-York I-a rata na drukarnię „Arbajtera": Skolski — 50 cent., Cohn 50 cent.

Na fundusz wyborczy galicyjski: K. lista Nr 3 — 26 m. 30 fen.; Fryb. — lista Nr 9 — 5 fr.

Na więźniów politycznych: A. B. z Pur. — 2 sh.; New-York Związek Pomocy wyłożone a cto dochodu z przedstawienia 19 stycznia 1901 r. na rodziny skazanych na śmierć — 15 dol.

Printed and published by J. Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone London N. E.